Nr. 27. Warszawa, dnia 22 Czerwca (4 Lipca) 1896 r. Rok XVI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobno nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: POLITYKA: Książę Mikołaj w Białogrodzie. — Tydzień polityczny. — ODCINEK: Jan Jullien. Wieczysta, tłum. W. Bugiel. — ŻYCIE SPOŁECZNE: W mrokach, p. Żen. Piet. — Dzisiejszy stan wiedzy, I. p. K. R. Żywickiego. — Liberum veto, p. Posła Prawdy. — Wystawa wszechszwajcarska, II. — BADANIA NAUKOWE: Ekonomistyczne pojmowanie wieków średnich, II. — LITERATURA I SZTUKA: Literatura polska, p. ***. — Notatki literackie i artystyczne. — SPRAWY EKONOMICZNE: Pomyślny zwrot, I. — W dali. — Kronika. — Ogłoszenia.

Karta tytułowa dodatku, dołączonego do poprzedniego numeru, wydrukowana została błędnie w nazwisku autora *Dallemagne'a*. Skutkiem tego przy następnych zeszytach dołączymy inną.

Od dnia 8 lipca Administracya *Prawdy* mieścić się będzie przy ulicy Nowogrodzkiej, w domu Hosera, pod nr. 39.

POLITYKA.

Książę Mikołaj w Białogrodzie.

Ks. Czarnogórski, wracając z Moskwy, gdzie znalazł sposobność poznać się i w najważniejszych sprawach półwyspu Bałkańskiego porozumieć z ks. Ferdynandem bułgarskim, w Wiedniu d. 24 z. m. miał posłuchanie u cesarza austryackiego, a we dwa dni później wyruszył do stolicy Serbii. Poprzedziła go tu pogłoska o blizkich jakoby zaręczynach jednej z jego córek z młodym królem serbskim. Czy okaże się ona prawdziwą, czy nie, odwiedziny same przez się nabierają znaczenia wobec zawiązanych już stosunków osobistych z księciem Bułgaryi, projektowanego na lipiec zbiorowego odwiedzenia króla Karola w Sinaia i wreszcie przyjęcia, jakiego doznał gość czarnogórski w stolicy Serbii.

Białogród nie był dla księcia usposobionym entuzyastycznie. Wiedziano tu, że wydał córkę za jednego z Karadżordżewiczów, wiecznych pretendentów do tronu serbskiego; pamiętano z dziejów lat ostatnich tę długotrwałą chwilę, kiedy w marzenia o przyszłości półwyspu Bałkańskiego wplatało się imię ks. Mikołaja jako przyszłego władcy Wszechserbów; z niechęcią wspominano jego nieprzystępny, zamknięty w sobie charakter. Lud, pod hasłem przewódców, zachował się zrazu zimno; na drugi dzień już jednak okazywał mu nietylko zadowolenie, płynące z gościnności, ale i szczerą radość i zapał w powitaniach. Książę przecież nie schlebiał jego popędom, nie przyjeżdżał z chęcią zamanifestowania swych uczuć wielkoserbskich. Wyraźnie zastrzegł, że nie weźmie udziału w niczem, coby było demonstracyą przeciwko traktatowi berlińskiemu i przyjęcia deputacyi wychodźców z Bośnii wręcz odmówił. Mimo to jednakże pośrednikiem między ludem białogrodzkim a gościem króla Aleksandra stała się idea wielkiej Serbii.

Wygłosił ją w mowie swej metropolita Michał. Jak gdyby umyślnie, książę przybył do Białogrodu w rocznicę bitwy na Kosowem Polu, d. 27 czerwca. Lat już 507 od tego straszliwego pogromu upłynęło; ale lata nie zmieniły tentna serc ludzkich. Jak wówczas, tak i teraz, Turek jest wrogiem Serba a wyzwolenie z pod jarzma — hasłem narodowem. Metropolita wezwał obu władców do dbałości o potęgę, którąby pozwoliła urzeczywistnić pragnienia narodowe. Idea wielkoserbska od północy i zachodu znajduje przeszkodę w Austro-Węgrzech, ale od wschodu i południa niemoc turecka jej nie powstrzyma: można więc swobodnie mówić, zanim okoliczności działać pozwolą. Na obiedzie później wydanym w konaku sam już książę miał rozumnie spokojną, ale wybitnie już z ducha serbską przemowę do młodego króla: naród serbski zgodnym być powinien pod dwoma swymi władcami; nie sięga on po cudze, ale swoje mieć pragnie. Trudy cywilizacyjne podejmować jest jego obowiązkiem stałym: cywilizacya wzmocni go i politycznie.

Ani te odwiedziny ks. Czarnogórskiego ani te przemówienia, wykraczające z obrębu grzeczności dworskich i dyplomatycznych, nie mogą być przypadkowemi: leżą w planie z góry obmyślonym. Książę jest tego planu pierwszym wykonawcą, pośrednikiem, motorem. Całe zachowanie się jego ukazuje poważnego męża stanu, nie trwoniącego czasu na proste grzeczności. Zaledwie wysiadł w Białogrodzie z wagonu i przywitał się z królem i jego matką, podjął robotę polityczną: pogodził królową Natalię z Risticzem, a ta zgoda niemałego będzie dla Serbii znaczenia. W Bułgaryi po odwiedzinach Serbów, wywzajemnionych w Białogrodzie pod tę właśnie chwilę, kiedy do niego przybywał książę Czarnogórski, rozchodzą się wieści o zmianie kierunku, zapowiedzianej już usuwaniem się zupełnem ministra niegdyś spraw zagranicznych, a obecnie, od początku wiosny, tylko ministra handlu, Nacewicza. Zawitanie króla Aleksandra do Sofii będzie już wypadkiem, a zjazd z królem Karolem rumuńskim na pewno prawie zacieśni węzły współdziałania między państwami bałkańskiemi.

Tydzień polityczny. W Wiedniu odbyła się d. 29 z. m. wielka rada koronna z udziałem obu prezesów ministrów i wszystkich trzech ministrów wspólnych nad budżetami wojskowymi na rok przyszły. Po radzie obaj prezesowie rozmawiali w cztery oczy — długo i poufnie.

Mgr. Agliardi, otrzymawszy biret kardynalski z rąk cesarza austryackiego, wręczył mu listy odwołujące go z poselstwa. Węgrzy postawili więc na swojem, choć powolnie. Instrukcya jednej z kongregacyj rzymskich świeżo do biskupów węgierskich wydana, rozżarza nowy płomień.

Niemcy czescy d. 29 z. m. postanowili utworzyć nowe stronnictwo niemieckie, prawdziwie już ludowe i postępowe.

Rada państwa już w zupełności d. 26 b. m. odroczona; d. 24 z. m. sejm węgierski.

Sejm cesarstwa niemieckiego uchwalił nareszcie d. 16 z. m. kodeks cywilny. Srożenie się zachowawców ewangelickich i katolików z centrum nie wzruszyło ślubów cywilnych; większem niebezpieczeństwem zagroziły kodeksowi zające. Panowie podzielili się na stronnictwa: jedno widziało w nich szkodników leśnych, odpowiedzialnych cywilnie, drugie — niewinne tylko zwierzątka, skubiące trawę. Przyjaciele zajęcy zwyciężyli.

Ks. Ludwik bawarski z polecenia swego ojca, regenta, pojechał umyślnie do Kielu, aby przeprosić cesarza za owo wyjaśnienie bankietowe.

Cesarz wyjechał d. 1 b. m. z Kielu na m. Północne. Minister handlu w Prusiech, Berlepsch, dostał dymisyę za zatargi z piekarzami, których chciał okiełznać.

Na Madagaskarze powstanie. Teraz dopiero poznali ci biedni Malaje, co ich czeka od Francuzów. Wyspa przyłączona jako kolonia. Laroche, komisarz, żąda 5 milionów fr. i wojska.

D. 26 z. m. zmarł w Wersalu, ks. de Nemours, syn Ludwika Filipa, ur. 1814 r. Jedna z jego córek była za ks. Wład. Czartoryskim.

Na Krecie Grecy tworzą własne zgromadzenie rewolucyjne; na urzędowe d. 29 z. m. nie przybyli. Walka do upadłego. Układać się będą tylko z nowym gubernatorem, b. ks. Samosu, Jerzym Berowiczem. Walk nowych nie było.

Na Kubę wysyła Hiszpania we wrześniu czterdzieści kilka tysięcy wojska. Z Hawany ludność ucieka przed dynamitem, którym grożą powstańcy.

D. 25 z. m. Li-hung-czang odwiedził Bismarcka we Friedrichsruhe.

ŻYCIE SPOŁECZNE

W MROKACH.

Dowodził ktoś, zdaje się nadworny lekarz Bismarcka, że stan zdrowotny wsi znacznie jest gorszy niż miast wielkich; że procent śmiertelności na prowincyi zwykle bywa większy, niż w miastach. Jeżeli tak jest w Niemczech, gdzie miasteczka i wsie słyną z czystości i porządku, to cóż mówić o naszych stosunkach, o tych osadach i miasteczkach, które są gnojowiskami, kloakami zbiorowemi i gdzie brud i niechlujstwo tak jest wielkie, jak wielka ciemnota mas ludności; gdzie ta ludność odznacza się niesłychanym uporem i solidarnością, gdy chodzi o zażartą walkę z... hygieną! Na te warunki okropne zwrócono baczną, powszechną uwagę dopiero w chwili groźnej dla całego kraju — podczas epidemii cholery. Stworzono „komisye sanitarne," które przeraziły się ogromem pracy, przekonały się, że chcąc oczyścić te odwieczne zbiorowiska brudu i miazmatów, trzeba pracy olbrzymiej, trzeba dużo poświęcić kosztów, wysiłków i walki w mrokach.

Na jaki grunt te czasowe organizacye trafiły, powziąć możemy pojęcie z opisów twórcy takich komisyj, d-ra Józefa Tchórznickiego, w najświeższej jego pracy p. t. „Dla zdrowia ludu" (Warszawa, 1896). Są tam zawarte dzieje owych przeciwdziałań (od 27 lipca do 5 grudnia r. 1892 w gub. Siedleckiej osadach Sterdyni i Kosowie), które, o ile wiemy, nie są zjawiskiem wyjątkowem w jednym tylko zakątku, lecz, niestety, ogólnem w całym kraju.

Przedewszystkiem zobaczmy, jak wygląda osada (Kosów): Pierwszy rząd domów od ulicy stoi na gruncie, drugi już na warstwie nawozu, trzeci — na wysokiej warstwie błota, nawozu i śmieci. Uliczki wąziutkie, wszelkie ścieki dążą ku małej rzeczce, przepływającej przez osadę. Tamują je domy, „kuczki," drzewo rąbane, bezładnie i dowolnie zawalające podwórza, kąty i inne miejsca. Nawóz uliczny przechowywany w stodołach; łaźnia i mykwa w najokropniejszym stanie. Bydłobójnia — w chlewach zwykłych od strony rzeki; pod nimi zaś cuchnące zdala kałuże, głębokie na trzy łokcie. Bóżnica na najbłotnistszym placu, a nad rzeką klozety żydowskie, wstrzymujące bieg wody. Poza domami z lewej strony ulicy przechodził niegdyś głęboki rów, prowadzący wodę ze źródeł i pól do rzeki. Na nim zbudowano kilka „kuczek," każda zaś z nich zamknęła bieg wody, skutkiem czego potworzyły się kałuże błotniste. Inny rów zaorany i rzeka zatamowana poniżej osady. Woda, pozbawiona odpływu, oblewa bożnicę w koło, podbiega pod domki i tworzy w nich wieczną wilgoć. Przepełnienie w mieszkaniach niemożliwe. Cała mieścina to kupa zgnilizny, z której nigdy nie wychodzą: ospa, dyfteryt, tyfus plamisty, dysenterya i wszelkie inne choroby.

Obraz ten, jak rzekliśmy, nie pojedynczy, nie wyjątkowy; jest on zjawiskiem powszechnem w całym kraju. Wobec takich warunków wystąpiły do walki z niechlujstwem komisye sanitarne. „Prości ludzie i Żydzi — pisze dr. Tchórznicki — zwrócili głównie swe oczy na dwory i podpatrując, co te czynić będą, wyczekiwali swej kolei, w nadziei, że dwór pierwszy wykona doskonale roboty i da im przykład. Gdy zaś dwór ociągał się, ciekawi byli bardzo, czy też do sądu zaskarżony będzie? Jeżeli nie — to konsekwentnie rzeczy biorąc, i ich ominie cała niepożądana ciężka praca." Przykład dworu zawiódł atoli oczekiwania: Napotkano tam — opór! Roboty szły powoli z przerwami; widząc to mieszkańcy osady tembardziej nie zabierali się do porządku, ten zaś przykład zaraźliwy udzielił się i sąsiedniej osadzie. „Za wiele wymagań; mogłoby się i bez tego obejść!" — wołano. Tłum ciemny chwytał te słowa i na nich swój opór fundował, za co potem niepotrzebnie płacił kary i odsiadywał kozy. „Nowe interwencye do p. właściciela, nowe starania i delikatne prośby, dowodziły tylko, że pomimo teoryi, nie wszyscy w praktyce są wobec prawa równi; że instrukcye sanitarne są martwą literą, a każdy przepis jest względnym dotąd, dopóki stosuje go osoba w jaki bądź sposób związana stosunkiem osobistym z wykonawcą i grzeczna aż do zapomnienia świętych obowiązków ochrony zdrowia publicznego, przyjętych na siebie, w chwili tak ważnej, jak epidemia."

Względy natury osobistej odegrały w tej mierze bardzo smutną rolę, ale jednocześnie zaogniły stosunki sąsiedzkie. Ludzie, żyjący przedtem w najlepszej zgodzie, zaczęli potem sobie wygrażać wzajemnie. Utrudniło to ogromnie działalność komisyi. Gdy jednak zbliżyła się cholera i zastała ludność pomimo usiłowań jednostek, prawie nieprzygotowaną, członkowie komisyi uznali za niezbędny warunek pozbycie się wszelkich skrupułów i przyjęcie zasady bezwzględności. Uchwalono, ażeby każdy opiekun sanitarny podał gminie wykazy niewykonanych robót na jego terytoryum i aby wójt uciekł się do sądu. Uchwałę tę powzięto dopiero po miesiącu bezowocnych wyczekiwań. Jakoż ukarano dozory bożnicze i 18-tu opornych, a paręset rubli zasądzono na nieporządki sanitarne. Pobudziło to opieszałych i niechętnych — do roboty, ale zarazem zrodziło nienawiść tłumów ku komisyi. Złorzeczyli jej nietylko ciemni, ale i tak zwana inteligencya wiejska, która tym sposobem jeszcze bardziej wrogo usposabiała nieoświeconych. Zaczęto w najrozmaitszy sposób grozić członkom organizacyi zdrowotnej; szczególnie zaś przewodniczącemu. Radzono mu np., aby nie jeździł wieczorami, gdyż Żydzi zamierzają zastąpić mu drogę; zapowiadano otrucie, okładano dom w nocy świecącem próchnem, wreszcie obiecywano wyciągnąć na niego takie przekleństwa, jakich przez 100 lat nie wyciągano. Zrażeni tem widocznie członkowie komisyi, coraz rzadziej zaczęli uczęszczać na posiedzenia, aż wreszcie i na nich kary nałożono (od 30 kop. do 1 rs. na rzecz komitetu dobroczynnego). Nie wiele to wszakże pomogło.

JAN JULLIEN.

WIECZYSTA.

Wobec wspólnego niebezpieczeństwa, siedmiu lekarzy miasta — w innych wypadkach siedmiu wrogów nieubłaganych — zebrało się u jednego z nich na tajną naradę. Wszyscy uznali, że położenie jest nie do wytrzymania i że należy działać. Uśmiechnęli się pierwszego dnia, kiedy na środku wielkiego placu szarlatan z włosami spadającymi na barki, okryty skórą zwierzęcą, zatrzymał swój wóz, przy odgłosie trąby i bicia bębna uśpił powną damę.

— Panowanie wydrwigroszów skończyło się — mówili — dzięki przymusowi szkolnemu lud umie poznać, gdzie leży prawdziwa wiedza; już teraz kuglarskie sztuczki nie wywierają nań uroku, domaga się rękojmi poważnych od tych, którym powierza swe życie i nikt w naszem mieście nie pójdzie szukać rady u owego linoskoka, bo będzie się bał przyprawienia o kalectwo.

Tak! I od trzech tygodni, kiedy na murach ukazały się płomienne afisze, zapowiadające przybycie słynnego Homodeja i kiedy wózek stanął w mieście, napływ ciekawych, potem pacyentów rósł z każdym dniem; dziś pod drzwiami tworzą łańcuch i nawet nie wszystkich cudotwórca przyjmuje.

Dopóki ubodzy tylko żądali pomocy empiryka, nikt protestu nie podnosił. Ale zawrót głowy opanował wnet mieszczan i bogaczów. Nie mówiono o niczem, tylko o zręczności i powodzeniu Homodeja, wyobraźnia tłumów przekształcała w cud uleczenia zupełnie naturalne. Należało teraz, zanim ów szał rozejdzie się po okolicy, usunąć powód i wezwać władze do ścisłego uszanowania praw; środki, których używał ów włóczęga, były może jak najniebezpieczniejsze. Prawda, że Homodej nie pisał recept, nie sprzedawał swych lekarstw, i zadawalał się datkami, otrzymywanymi w zamian za broszurę traktującą o hygienie codziennej. Lecz mimo to interwencya jego winna być powstrzymaną, wszak wykonywa nieprawnie medycynę.

Skarga zbiorowa siedmiu lekarzy została oddana gdzie należy. Nazajutrz, w chwili, kiedy Homodej przed zebranym tłumem natchniony, uroczystym gestem dał znak muzyce, aby umilkła, i zapowiedział, że uśpi pannę Emerancyę, dwóch żandarmów zjawiło się i zażądało od niego pozwolenia na zatrzymywanie się, pozwolenia na krążenie, pozwolenia na praktykowanie... i wszystkich niezliczonych pozwoleń, dzięki którym można żyć swobodnie na terytoryum francuzkiem. Formalna odmowa zadośćuczynienia żądaniom, postawiła go wnet w obecności komisarza policyi, który przedsięwziął skrupulatne śledztwo. Oskarżony zajął przed reprezentantem władzy opłakane stanowisko i wybrał najgorszy sposób obrony — nie licząc tego, który polega na wyznaniu prawdy — mianowicie milczenie. Nie odpowiadał, sądząc, że nie jego jest obowiązkiem informować sprawiedliwość, lecz rzeczą sprawiedliwości szukać żądanych informacyj. Więc szukała ona istotnie i znalazła, że Homodej posiadając papiery niejakiego Grimaudina, musiał przyjść do nich drogą fałszerstwa, kradzieży, a może i morderstwa. Niedozwolone wykonywanie medycyny cofało się teraz na drugi plan i Homodej został wtrącony do wię-

Obok komisyj sanitarnych postanowiono stworzyć w każdej gminie „rady zdrowia“ z udziałem lekarza i pod przewodnictwem wybranego z pośród mieszkańców obywatela. Oprócz prezesa i jego zastępcy, wchodziło w skład tych organizacyi kilku opiekunów sanitarnych i sekretarz; na posiedzenia wzywano duchowieństwo. Podzielono gminy na „rewiry sanitarne“ i co tydzień zwoływano narady. W końcu połączono komisye sanitarne z radami gminnemi. Zadania ich były nadzwyczaj proste: wywieźć nawóz na pola, oczyścić ulice i porobić rowy lub tylko poprawić, wyrównać podłogi klepiskowe, wybielić izby, zrobić w oknach lufciki, oddalić trzodę od domów i przebrać studnie. Pomimo wszakże tej prostoty zadań, były one prawie niemożliwe do wykonania wobec nieprzeniknionej ciemnoty ludności i nałogowego jej niechlujstwa. Rozsiewano najfałszywsze wieści o komisyi, jej celu i członkach. Niektórzy przez zemstę za nałożone kary wmawiali w lud, że lekarze trują chorych w szpitalach i domach, że będą nałożone stałe podatki choleryczne, że lekarze powaryowali, że sprowadzili z Azyi robaczka cholerycznego, którego pilnie hodują w szpitalach dla trucia chorych. Na mocniejszych puszczają tego robaczka; uśmierca on biedaków. Wreszcie wmawiano, że porządki są zbyteczne, że więc nie trzeba wcale ich robić. Lud oczywiście dawał posłuch tym fałszom.

Do wsi wszakże nie były stosowane kary, starano się wszystko uzyskać dobrowolnie i wytworzyć „przekonanie“ o konieczności ulepszeń zdrowotnych. Przy każdem nowem rozporządzeniu lekarz starał się tłómaczyć potrzebę środków ochronnych. W dni świąteczne urządzano wykłady przystępne o cholerze, rozdawano książeczki popularne, zapisywano ochotników na dozorców i dozorczynie chorych. Wywierało to wpływ, ale nadzwyczaj drobny, osłabiany przy tem odpornością i arogancyą tych, którzy powinni być bodźcem i dobrym przykładem dla ogółu ludności wiejskiej. „Dwaj najzamożniejsi ludzie w okolicy — pisze dr. T. — przez pierwsze kilka tygodni nie kazali wykonywać żadnej roboty, odmówili udziału w posiedzeniach i dyskredytowali rozporządzenia komisyi, zbywając milczeniem sołtysów, przynoszących wezwania. Dopiero list naczelnika powiatu i osobista wizyta lekarza poprawiła nieco stan rzeczy.“ Mniej zamożni obywatele chętnie wzięli udział w posiedzeniach i przewodniczyli zebraniom.

Te niedawne dzieje zabiegów około uzdrowotnienia prowincyi, rzucają bardzo smutne światło na poziom umysłowy i charakter jej mieszkańców. Ciemne tłumy, podsycane przez liche, spodlone jednostki, wyrazały całą swą fanatyczną nienawiść względem urządzeń zdrowotnych i ich organizatorów. „Inteligencya“ — uporem, lekceważeniem hygieny, drwinami, wygłaszanemi wobec ludu, wytworzyła w nim jeszcze większą odporność. Tam, gdzie do komisyi powołano przedstawicieli wszystkich warstw ludności o bardzo różnym poziomie umysłowym, weszli w skład tej organizacyi członkowie nietylko mało pożyteczni, ale wprost szkodliwi, gdyż nie rozumiejąc doniosłości środków ochronnych, wzmacniali żywioł opozycyjny, ku szkodzie ogólnej. Przykład ten wymownie dowiódł, że system parlamentarny w takich urządzeniach jest przedwczesny, że absolutyzm i nacisk administracyjny są jedynymi środkami, torującymi drogę ulepszeniom hygienicznym przez ciemnotę tłumów. Oczywiście mówię tu o takich wypadkach, gdy chodzi o wzmocnienie tymczasowej ochrony wobec groźnej epidemii. Gruntowne i stałe uzdrowotnienie kraju taką drogą nigdy się nie da osiągnąć — po pierwsze — że stoi na przeszkodzie ubóstwo masowe i warunki pracy, powtóre — że przemocą narzucone środki zawsze będą wrogo przyjmowane i odpychane całą siłą mroków umysłowych.

Jakież dzisiaj można znaleźć sposoby możliwie najskuteczniejsze? Dr. Tchórznicki podaje ich aż jedenaście: 1) Przepisy sanitarne powinny być nakazane z góry w jasno określonej formie. Wykonaniem ich powinna się zająć tylko władza administracyjna. 2) Udział lekarza miejscowego powinien się zasadzać na udzielaniu objaśnień specyalnych w rzeczach naukowych i spornych. 3) Władza wójtów i sołtysów na miejscu nie jest wystarczającą. Potrzeba władzy administracyjnej powiatowej lub urzędnika specyalnie i jedynie zajętego epidemią i mającego na swe usługi przynajmniej dwu strażników w gminie. 4) Rozporządzenie co do robót, pociągających za sobą koszty, powinno być połączone z udzielaniem na nie środków materyalnych, przynajmniej dla ubogich. W tym celu należy zużytkować wszelkie kary pieniężne, naznaczone przez sędziów na nieposłusznych. 5) Terminy, oznaczone do wypełniania robót, powinny ściśle odpowiadać rzeczywistej ilości czasu, potrzebnego do wykonania. 6) Wobec niesłychanej biedy śród ludności osad, należy wymagania, o ile można, uprościć i ograniczyć, mnogość ich bowiem stawia mieszkańców w położeniu bez wyjścia. Często niema czego jeść, a tu — termin i kara. 7) W przepisach budowlanych należy zwrócić uwagę na hygienę mieszkań i stosować przepisy te bez tak wielkich kosztów, jak obecnie (plan i pozwolenie wynosi nieraz czwartą część kosztów budowli). 8) Ważną rolę gra jednolitość wymagań w całym kraju. 9) Częste posiedzenia rad zdrowia mają tę dobrą stronę, że zaznajamiają uczestników, a więc i ludność całą, ze środkami ochronnymi i sposobem ich stosowania. Żeby wszakże nie znużyć większości, posiedzenia zwoływać należy tylko raz na tydzień, najwyżej na godzinę lub półtorej. 10) Obywatele, duchowieństwo, przedstawiciele inteligencyi w różnych zawodach i opiekunowie sanitarni powinni dawać nieustanny przykład za pomocą bezzwłocznego wykonywania przepisów „rad.“ 11) Należy wprowadzić wykład hygieny w szkołach elementarnych i średnich. Wreszcie wnioskonawca zaleca stosować wszelkie środki sanitarne we wsiach i osadach, jako ochronne od chorób zaraźliwych, nietylko w czasie epidemii, lecz stale, ciągle i obowiązkowo, pod okiem odpowiedniej władzy zdrowotnej.

Środki powyższe, niewątpliwie do pewnego stopnia skuteczne, należałoby przyjąć jako tymczasowe, doraźne. Nie obejmują one bowiem całokształtu warunków, nie wnikają w jego rdzeń. Zdrowotność kraju jest związana ściśle z ogólnym bytem i jego objawami. Nie można więc za pomocą przepisów, zawartych w 11-tu punktach, przekształcić zasadniczo ani tego bytu, ani jego objawów.

Zen. Piet.

DZISIEJSZY STAN WIEDZY.

I.

Taine uskarża się gorzko na rozczarowanie, jakiego doznał na zjeździe Towarzystwa wielkobrytańskiego w sprawie postępu wiedzy. Tam, gdzie spodziewał się bogactwa idej, zastał pustkę. „Zdawało mi się, że jestem na zjeździe pryncypałów hut i warsztatów. Uczeni zajmowali się sprawdzaniem drobnych szczegółów i wymianą wzajemną recept i przepisów. Sądziłem, że sły-

---

zienia. Na jak długo? Aż badanie sędziego śledczego będzie w zupełności skończone.

Wiadomość o uwięzieniu znachora wywołała w mieście słuszne wzruszenie. Chorzy, którzy przybyli z bardzo dalekich włości radzić się go, prosili usilnie, aby im pozwolono zobaczyć się z nim w celi aresztanckiej. Odmówiono. Widząc to, najbardziej ogżaltowani zaczęli przebiegać tłumnie ulice i wykrzykiwać pod oknami siedmiu lekarzy. Zamknęli biednego Homodeja, bo leczył choroby, zamiast je przewlekać; bo więcej nauczył się w swoich lasach, niż oni na ławkach szkolnych; bo chcieli mu ukraść jego tajemnicę. Kobiety, skrycie zachęcane do tego, należały do najgorliwszych; protestowały przeciw prześladowaniu świętego człowieka przez farmazonów. Wszczęła się polemika w prasie miejscowej, spory w kasynie, wreszcie grono ojców rodziny wystosowało do władz petycyę o uwolnienie niewinnego.

Tymczasem śledztwo toczyło się biegiem dość kapryśnym. Sędzia, zgubiwszy się pośród dokumentów sprzecznych, stracił zupełnie głowę i przetrzymywanie Homodeja zapowiadało się już na czas nieograniczony, kiedy ten postanowił naresz-cie wstąpić na tryumfalną drogę wyznań.

— Opowiem panu wszystko — rzekł do sędziego — tylko nie przerywaj mi, bo inaczej całą sprawę powikłasz.

I przybierając pozy, podkreślając słowa giestami i mimiką, do której się przyzwyczaił, odkrył, że nazywał się istotnie Grimaudin, i że mieszkał przedtem w Paryżu. Pewnego dnia, kiedy sam w pustym gabinecie lekarskim siedział rozparty w fotelu, ze skrzyżowanemi ramionami, i patrząc na obraz przedstawiający, jak Hipokrates odmawia przyjęcia podarków Artakserksesa, dumał o krachu medycznym i o bankructwie wiedzy, wszedł jakiś człowiek. Mały, chudy, ruchliwy, wziął sobie szybko krzesło i usiadł, nie krępując się przy doktorze, obnażając ramię, którem, jak zapewniał, nie mógł ruszać wskutek pewnego wysiłku. W kilka chwil Grimaudin ułożył mięśnie i ścięgna w sposób odpowiedni, a kiedy zażądał bardzo skromnej nagrody, człowieczek wyprostował się nagle:

— Cóż to, bierzesz mię pan za głupca? Umiem ocenić dobrą pracę, zdaję sobie z niej sprawę; toż nie w dwudziestu czterech godzinach nabywa człowiek podobnej zręczności i wiedzy, jak pan. Dla mnie trud pański wart trzy, cztery razy więcej.

I dwie monety złote spoczęły na biurku przed zdumionym Grimaudinem.

— Dziwi to pana, co? Mówisz sobie: oto osobnik, który ma głowę trochę przewróconą. Kochany panie, nie jestem wcale waryatem. W najgorszym razie możemy sobie wzajemnie złożyć powinszowania. Bo i ja dawałem konsultacye — moje były prawnicze — i mogę to powiedzieć bez przechwałki, miałem szczególny talent upraszczania spraw i nadawania im takiej formy, że raczej apelowały do zdrowego zmysłu, niż do prawa; to mię zaprowadziło nad przepaść nędzy. Widzi pan, publiczność nie uznaje talentów; ona chce obcować z geniuszami, a że geniuszami nikt pól nie zasiał, więc jeśli pan chcesz dojść do czego, musisz przybrać pozory czegoś wielkiego i aby dać drugim zażyć szczyptę prawdy, musisz dodać łyżkę barwiących kłamstw.

Ja, który teraz mówię, jestem obecnie dyrektorem widowiska ludowego, ustawionego naprzeciw pańskiego domu na cały przeciąg świąt. Wykonywam także z pół tuzina sztuczek kuglarskich. Przy-

szę podrzędnych majstrów, którzy nawzajem udzielają spostrzeżeń co do sposobów garbowania skóry lub drukowania perkalików. Brakło tam idei ogólniejszej!"

Filozof francuzki zrobił słuszną uwagę. Szczegół zapanował w nauce nad całością, drobny fakcik nad objęciem ogromu zjawisk. Skarby, jakimi rozporządza wiedza, wzrastają, bo człowiek, podniecany przez warunki materyalne chwili obecnej, wdziera się we wszelkie zakątki przyrody, wykrada jej tajemnice i przekuwa je na złoto brzęczące. Każdy dokonany postęp nietylko rozszerza rozmiary istniejącego już dobytku, ale mnoży także liczbę wyzyskiwanych pokładów. Taine, któremu, pomimo foliałów o Rewolucyi francuzkiej, zbywało na zmyśle historycznym, tj. na umiejętnej ocenie kategoryj społecznych w zależności od warunków miejsca i czasu, nadaremnie spodziewał się znaleźć na zjeździe w Oxfordzie ideje ogólniejsze. Zebrali się tam tylko majstrowie, — tacy, którzy pracują przy warsztacie teoretycznym. Kongresy zyskują coraz bardziej na znaczeniu, jako właśnie miejsca wymiany wzajemnej drobnych względnie faktów i co najwyżej oświetlenia pewnej nowozdobytej pozycyi przez sąsiadów. Fizyologia np. rozpadła się na wiele działów, tak nawzajem odosobnionych, że pracujący w jednym nie ma wprost czasu na systematyczne studya nad innymi. Powstała fizyologia nerwów i niezależna od niej—zmysłów, to znowu obrotu krwi lub trawienia, każda zaś przykuła wyłącznie do siebie liczne, wyspecyalizowane siły. Nastaje jeszcze krańcowsze zróżniczkowanie, bo nawet w zakresie studyów nad działalnością systemu nerwowego są różni fachowcy. Zjazd jest i być musi wymianą wzajemną drobnych szczegółów — sposobów nie garbowania skór wprawdzie i nie drukowania perkalików, ale bądź co bądź czegoś pokrewnego. Dzisiejszy stan wiedzy przypomina mi olbrzymią kopalnię, w której wnętrzu pracują niezliczone rzesze. Każdy ma przed sobą tyle kruszcu, że nie wolno mu nawet myśleć o tem, co dzieje się w dalszem sąsiedztwie, bo takie odebylenie uwagi zmniejszy rozmiary dorobku dziennego. Pod uwagę bierze on jedynie robotę towarzysza najbliższego, i tylko o tyle, ile podkopy, przezeń dokonywane, mogą nawzajem pokrzyżować się z jego miną.

Tak, szczegół panuje i musi panować nad całością, drobna czynność wyspecyalizowana nad wywodami ogólnymi, bo tylko przy takich warunkach wiedza może robić postępy! Taka drobiazgowość zrodziła ujemne skutki, wywołujące namiętną skargę wśród umysłów żywszych. Specyalizacya podnosi wydajność wysiłku ludzkiego, jest potężną dźwignią postępu technicznego oraz umysłowego, ale z uszczerbkiem dla duchowości osoby, którą wprzągnięto w taki ciasny deptak. Dawny rzemieślnik średniowieczny był istotą wszechstronną. Pozostawił on po sobie arcydzieła sztuki, lecz nie poprzestawał na pracy fizycznej, bo zajmował się teoryą: matematyką, geometryą i ćwiczył rękę swoją w rysunku. Tymczasem wyspecyalizowany najemnik, np. krawiec monachijski, otrzymujący z kantoru do szycia tylko kamizelki wciąż tego samego fasonu, utracił nawet umiejętność kroju i przestał panować nad całością swojego rzemiosła; pierwiastki intelektualne pracy zawodowej oddzielono od niego i upostaciowano w specyaliście-krojczym, sztukę wyrobu rożnych części ubiorów sprowadzono do szycia tylko spodni lub marynarki. Taki rzemieślnik może być upośledzony duchowo, nie mieć gustu, byleby tylko zdołał poruszać nogą maszynę i podsuwać materyę pod igłę automatyczną. Specyalizacya w zakresie nauki sprowadza te same skutki, tj. płodzi idyotów. Dla badania, z dnia na dzień, skrawków pod mikroskopem lub zbierania dat statystycznych nie trzeba ani wyjątkowych uzdolnień umysłowych, ani polotu wyobraźni. Badacz powinien być tylko cierpliwym, skrzętnym i pracowitym szperaczem, gromadzącym systematycznie ziarnko do ziarnka. Szersze widnokręgi są pożyteczne, nawet bardzo pożyteczne, lecz nie stanowią niezbędnego rynsztunku męża nauki. Umysły lotniejsze, śmielsze, nie mogąc wytrzymać w takim deptaku szarzyzny, wyrywają się na swobodę, która, niestety, choć miła, jest jałowa: zamiast wyrycia na pomniku dziejowym swego imienia, ktoś znaczy na nim po sobie ślad znikomym rylcem dylotantyzmu, który jest marnowaniem sił i zdolności na bezpłodne harce. Tylko z natury swojej ociężali i niskiego polotu, tacy, którzy gotowi nawet liczyć kamienie na bruku ulic i wydać monografię o tym przedmiocie, zajmują posterunki, na których skutecznie wydzierają przyrodzie jej tajemnice i oświetlają jej kryjówki. Nie wszyscy uczeni są z takiej gliny, ale, niestety, właśnie tacy przeważają. Symbolem uczonego jest nie rączy rumak, z niecierpliwości bijący kopytami o ziemię, ale cierpliwy, ciężki muł, bez narowów i wygórowanych namiętności. I jak wszelki okaz rodzaju ludzkiego, zamknięty w pewnej skorupie historycznej, filozofuje na temat wyższości tej sukni nad innemi, tam samo specyalista-uczony, ów wytwór doby nowoczesnej, dowodzi hołocie nieuczonej, że tak, jak jest, jest najmądrzej. Rozsądna *vis medicatrix* przyrody społecznej, w swojej działalności bezwiednej, ułożyła rzeczy jak najlepiej, ku większej chwale swojej żywiołowości a zadowoleniu wewnętrznemu tych, którzy mogą przesiedzieć życie całe nad badaniem komórek wątroby, dochodzeniem, jak Grecy wymawiali pewne dźwięki, lub gromadzeniem pisanek. Uczestniczyłem w zjazdach naukowych, bywałem na poufnych zebraniach uczonych specyalistów, przysłuchiwałem się wymianie wzajemnej recept i przepisów, co tak gniewa Taine'a. Nie robię im z tego zarzutu, bo wiem, że nie może być inaczej w chwili obecnej. Ale zawsze pozostawało w umyśle moim jak najgorsze wrażenie zarozumiałości tych szczurów, których wiedza nieraz ogranicza się tem, że z całego ogromu zjawisk i przedmiotów przyrody pogryźli tylko parę książek o Arystotelesie lub o wyprawie króla Ćwieczka po żonę. Mają oni szczególny probierz dla sądzenia o „naukowości": kandydat, pragnący, ażeby przyznano mu ten przymiot, powinien wydawać tylko monografie specyalne i podręczniki, bo jeśli zapragnie bujać po przestworach ogólniejszych, będą już na niego patrzeć z pode łba jako na podejrzanego warchoła. Trzeba być specyalistą od pewnej rodziny owadów lub wodorostów, od pewnej grupy węglowodorów lub kwestyi monetarnej, ażeby niedowierzanie rozchwiało się, i ażeby kogoś uznano za godnego kamrata bractwa wzajemnej adoracyi w świecie uczonym. Opowiadano mi o pewnem piśmie specyalnem, poświęconem naukom przyrodniczym, które bało się zamieszczać nieco ogólniejsze, filozoficznej natury artykuły z zakresu chemii, bo uważało to za kompromitacyę „ducha naukowego." Zwłaszcza w humaniorach, w których prócz innych uprzedzeń dołącza się jeszcze bojaźń, że nieprzestawanie na gryzieniu trawki z paroprętowego zagonika może poprowadzić uczonego do wygłoszenia herezyj nietolerowanych,—ciasnota poglądów i filisterstwo przewyższają wszelkie pojęcie. I to tak bywa właśnie wśród tej grupy mężów nauki, która coś przysparza skarbcowi naszej wiedzy w przeciwieństwie do tych lekkoduchów, co puszczają tyl-

---

puść pan, że powiem do zebranych widzów: „Schowam tę sztukę pięciofrankową do rękawa." Ani jeden nie popatrzy na to, co zapowiadam. Ale skoro ucieknę się do interwencyi mojej różdżki, do władzy nadprzyrodzonej, do siły tajnej albo czegoś w tym rodzaju, zamilkną z podziwu. Kiedy się im wyjaśnia, sądzą, że sami by to zrobili, proste tłomaczenia rażą ich. Wolą wierzyć w dziwy, interwencyę geniuszów i wróżek i myśleć, że przyroda dla nich zrobi wyjątek.

Zrozumiej mię pan dobrze. Naprawiłsz czyjeś ramię w dwu ruchach — chory mówi: to nie trudne! Z pańską medycyną rzecz ma się tak, jak z mojem prawem: proste. Patrz, już od wieków tłumy czekają szczęścia od jakiegoś zrządzenia, które wciąż z nich drwi, i wolą jasnowidzących, niż uczonych. Ujasnowidz się pan. Nie zmieniając w niczem osnowy wiedzy, upiększ ją, ogarnij tajemnicami — alchemicy mieli słuszność — dodaj jej bombastyczności — wszak obrzędy bez tego nie obywają się — i jak cię tam potem nazwą, nie zważaj. Ostatecznie nie tyś winien.

Pozwól mi więc dać sobie radę. Zdaje mi się, że przymierasz z głodu w swej godności. A zatem, drogi panie, ponieważ nie przekształcisz ludzi, śmiej się z pozorów i stąpaj śmiało; nie przeszkodzi ci to pełnić swego obowiązku, skoro jesteś sumiennym. Czy umiesz pan grać na trąbce?..

— Nie.

— To źle; to działa dobrze na tłumy; to warte więcej, niż dziesięć lat studyów, a lepszem jest od bębna, który przyciąga, gdy tymczasem trąbka przykuwa. Czy nie masz nadto zdolności kuglarskich?

— Nie.

— Czy szanowna żona pańska... jest dość okazałej tuszy? To znaczy, czy jako medyum prezentowałaby się poważnie?

— O, tak, ostatecznie...

— Dobrze! Hypnotyzm jest jeszcze w modzie. Ona będzie osobnikiem jasnowidzącym, który pogrążony w śnie magnetycznym, będzie ci nakazywał wybór lekarstw. Weź teraz dobry wózek i w drogę. Zarazem precz z czarnymi surdutami, precz z płaszczem powłóczystym *a la* cesarz rzymski. Wdziej kostyum człowieka lasów — ci budzą wiarę, że zawdzięczają tajemnicę swej wiedzy tylko objawieniu— i przybierz minę natchnionego z niebios! Odpychaj ludzi, będą do ciebie przybiegali masowo; grom ich, będą cię oklaskiwać; traktuj ich szorstko, padną ci do kolan; zrób to, a potem resztę mi opowiesz.

W tej chwili sędzia, dotąd spokojnie wysłuchujący opowiadania, przerwał:

— Jakto, więc posiadałbyś dyplom? Miałbyś prawo do praktyki? Jesteś pan doktorem?

— Naturalnie; ale błagam pana, mój dobry sędzio, nie wydaj mojej tajemnicy! Jeśli powiesz, że jestem lekarzem, że panna Emerancya jest moją prawną żoną, że nigdy nie żyłem w lasach i że pierwszy lepszy doktór może zapisać to, co ja zalecam, jestem zrujnowany, zgubiony! Teraz, skoro chcesz pan być bardzo grzecznym, nadzwyczaj grzecznym, prześladuj mię za wykonywanie nieprawne medycyny. Cóż robić? Głupota ludzka jest wieczystą.

Tłom. *W. Bugiel.*



ko bańki mydlane i robią karyerę na takiej zabawce!

Specyalizacya jest jednocześnie warunkiem i rezultatem postępu wiedzy. Mając do wyboru pomiędzy jałowem przerzucaniem się z jednej dziedziny do drugiej, a wązką, obywającą się bez polotów, ale bądź co bądź wydajną specyalizacyą, rozwój potoczył się ostatniem łożyskiem. Ale na pewnym szczeblu taka wązkość i drobnostkowość badań z dźwigni postępowej zamieniają się, w dyalektyce dziejowej, na swoje przeciwieństwo, tj. na negacyę dalszego dorobku. Są już dzisiaj zakresy pracy naukowej, w których pojedynczy badacz, pozostawiony tylko własnemu wysiłkowi, zmarnuje życie, nie uporawszy się należycie z materyałem tam istniejącym, chociażby nawet w swojej specyalności wybrał kawałek pola nieznaczny i wyodrębniony. Bancroft, historyk Stanów, leżących nad oceanem Spokojnym, biorąc się do pisania swojego dzieła, obliczył, że na przeczytanie materyałów, które zebrał, potrzebowałby około czterystu lat! Gdyby historyk, pracujący nawet nad specyalną monografią pewnego okresu, obfitującego w żywsze uderzenie serc ludzkich, pragnął uwzględnić wszelkie istniejące źródła, gdyby etnograf miał przestudyować wszystko, co przed nim zebrano, na taką pracę zabrakłoby życia. Badaczowi więc, który chce objąć cały przedmiot swojej specyalności, pozostaje tylko możność oświetlenia go z jednego lub paru punktów widzenia lub przykra konieczność uwzględnienia tylko pewnej części istniejącego materyału. Specyalizacya indywidualna, czująca zawrót głowy na wyżynach. lecz bądź co bądź zasłużona i pożyteczna, dopóki byliśmy w pewnym okresie gromadzenia dorobku naukowego, zaczyna prowadzić z konieczności, na mocy nieodłącznych od rozwoju dążności, do tandety zdawkowej i rozproszenia specyalności na dalsze jeszcze ułamki, do odrzucenia na bok nietylko całości pewnego szeregu zjawisk, ale nawet pojedynczego, całkowitego faktu. Z chwilą, gdy pewna dziedzina nauki dosięgnie takiego rozrostu, wszelka praca, którą wyda wysiłek indywidualny, nie będzie już pożytecznym, choć drobniuchnym przyczynkiem, ale najczęściej tylko nowym egzemplarzem zadrukowanej bibuły, zamulającym niezbyt wartki prąd wiedzy i zamieniającym go na cuchnącą kałużę. Doszedłszy do takiej fazy, specyalizacya sprowadza za sobą nietylko ciasnotę umysłową; przymiot ten jest z góry nieodzownym warunkiem, ażeby ktoś został „uczonym.“ Ktoś z najpotężniejszych myślicieli ostatniej doby z przekąsem mówi o historykach i prawnikach niemieckich i nadmienia. że w słowniku synonimów należałoby zamieścić obok siebie, jako równoznaczne, wyrazy: „idyota“ i „uczony-specyalista.“

Dyalektyka rozwojowa, przerodziwszy dodatnie skutki specyalizacyi na ich przeciwieństwo, na przeszkodę dla dalszego postępu, wytwarza, na podłożu tej fazy, nową — zespalania wysiłków, dotychczas rozpierzchłych i nawzajem niezależnych. Zgodnie z całokształtem stosunków nowoczesnych, powstająca łączność wcieliła się w formy, oparte na przymusie, tj. przybrała postać fabryki, dokładniej rękodzielni, takiej, jaka istnieje w zawodzie krawieckim. W kantorze pryncypała pracuje paru krojczych, materyał zaś pocięty otrzymują robotnicy - krawcy do domu. Ktoś szyje tylko spodnie, ktoś inny kamizelkę — pewnego określonego fasonu. W krawiectwie kapitalistycznem krojczy jest inżenierem, wyznaczającym roboty prostym specyalistom od szycia. Podobni szefowie są także w zakresie wiedzy: pryncypał zakłada kantor i rozdaje pracę do domu pokątnym uczonym — *Hausindustrie in der Wissenschaft!* — niekiedy zaś zjawia się nawet fabryka w całem znaczeniu. Naturalnie, Ameryka powołała do życia wzory najbardziej rozwinięte. Bancroft, ażeby zgromadzić materyał, potrzebny do napisania historyi obszarów nad Pacyfikiem, zorganizował sztab przepisywaczów, poszukiwaczów i kopistów. Agenci jego przebiegali Europę. robili poszukiwania w bibliotekach, streszczali lub przepisywali; tylko wyciągi z archiwum w San Francisco kosztowały pryncypała 18,000 dol. Reporterzy zbierali tradycyę ustną. W ten sposób zgromadzono materyały, na których przeczytanie trzeba byłoby ośmiu godzin pracy dziennej w ciągu lat czterystu. Z tem zadaniem historyk amerykański uporał się także przy pomocy najemników. Przedewszystkiem sporządzono dokładny a systematyczny inwentarz, później na jego podstawie zaczęto robić wyciągi i notatki, co kosztowało 80,000 dolarów, wreszcie poddano ocenie krytycznej zebrane wiadomości. „Asystenci“ układali rodzaj skrótu, który już szedł do rąk Bancrofta i służył mu za materyał przy pisaniu historyi 39-tomowej.

Nie trzeba zresztą przepływać Atlantyku, ażeby ujrzeć w ruchu fabrykę naukową. Można odnaleźć takie wzory nawet w naszej części świata, choć nie w tak wspaniałej i wykończonej postaci. Reclus pisze swoją olbrzymią „Geografię powszechną“ w taki sam sposób. Pewne osoby, w tej liczbie uczeni, mający imię w świecie naukowym, studyują literaturę przedmiotu, robią wyciągi, oraz je systematyzują. Geograf francuski niekiedy zwiedza osobiście opisywaną okolicę, uzupełniając suchy materyał żywem wrażeniem. Socyologia Herberta Spencera, pod nazwiskiem autora, ukrywa pracę paru bezimiennych robotników, którzy wertowali książki źródłowe i zbierali potrzebne notaty.

Może niejednemu forma taka zbierania dokumentów wyda się niezbyt sympatyczną, ale bądź co bądź, jest ona jeszcze uczciwa. Organizacya, którą stworzył Bancroft dla zgromadzenia materyału, jego oceny i opracowania, była w swoim czasie przedmiotem ożywionej uwagi i podziwu nad inicyatywą Amerykanina. Reclus pozwala korzystać swoim współpracownikom z zebranego materyału na własną rękę i stara się oprzeć stosunek wzajemny na przyjaźni i szacunku. Są to firmy nie wstydzące się, że są fabrykami. Owszem, powstanie takiej organizacyi uważają one za środek pogodzenia wymagań specyalizacyi z chęcią wydania czegoś większego, wyczerpującego. Takie zrzeszenie, chociaż na podstawie najemnictwa, jest postępem technicznym w porównaniu ze specyalizacyą czysto indywidualną. Łącząc rozpierzchłe siły, zbyt słabe dla podołania ogromowi faktów w pewnej dziedzinie, umożliwia ono dokonanie roboty, która nie byłaby urzeczywistnioną. Ale jak w Warszawie są majsterkowie, którzy udają przed światem rzemieślników, a tymczasem dają zatrudnienie setce uboższych towarzyszów, pracujących na strychach i w suterenach, tak samo istnieją w świecie nauki przywłaszczyciele cudzego wysiłku, ukrywający się ze swoim wyzyskiem. Jeden z moich przyjaciół, zmarły przed kilku laty, wraz z paru towarzyszami pracował na żołdzie pewnej znakomitości zagranicznej nad ułożeniem atlasu botanicznego. Ten owoc wysiłku zbiorowego ukazał się z podpisem luminarza nauki, który tyle zadał sobie pracy, iż może ponumerował stronice już gotowe. Ktoś inny był sekretarzem głośnego statystyka i ekonomisty francuskiego. Zajęcie polegało na układaniu dla pana uczonego sprawozdań o ruchu w danej gałęzi nauki. Powaga naukowa na parę godzin przed odczytem dowiadywała się, o czem będzie czytała na posiedzeniu Akademii... Firma w danym razie ukrywa starannie przed światem swoją organizacyę wewnętrzną i z korzystaniem z cudzej pracy łączy wprost kradzież rezultatów cudzej myśli.

K. R. Żywicki.

LIBERUM VETO.

Stopnie niezdrowia moralnego. — Różnica między kradzieżą kopiejki a tysiąca rubli. — Podstawy etyki dzisiejszej. — Budzenie akcyj do ruchu umiarkowanego, jako przepis hygieny ekonomicznej. — Czy on nam jest potrzebny.—Otrzeźwienie krytyczne.—Źródła pesymizmu publicystycznego — Wymagania kultury młodej i starej.

Czy etyka ma także swoją dyetę? Innemi słowy: czy według niej ukraść rubla jest mniejszem przewinieniem, niż ukraść tysiąc rubli, a przywłaszczenie sobie cudzej kopiejki prawie nie szkodzi zdrowiu moralnemu? W niehygienicznych społecznie czynach ludzkich widzimy rozmaite, nieraz bardzo odległe stopnie *szkody*, które wywierają wpływ na wyroki opinii publicznej. Zarówno w Londynie, Filadelfii, Paryżu, jak w Warszawie, jeżeli wskażecie człowieka, który ukradł kopiejkę, nikt na niego nie spojrzy i żaden policyant go nie przytrzyma; tymczasem krzyknijcie na ulicy w Wiedniu, że mijający was przechodzień ukradł w Warszawie tysiąc rubli, zaraz obecni zwrócą na niego uwagę, policyant go zaaresztuje i rozpocznie się korespondencya międzynarodowa, która doprowadzi do wydania złodzieja właściwym sądom. A więc występkiem nie jest sama kradzież, lecz kradzież pewnej sumy? Jakkolwiek społeczeństwa dzisiejsze w katechizacyi zaprzeczyłyby temu najuroczyściej, w praktyce jednak odpowiadają twierdząco. Społeczeństwa te nie usuwają ze swego życia zasad, ale przeniewierzając się im, zakrywają je względami utylitarnymi. Wówczas rozumują one tak: przywłaszczenie sobie cudzej rzeczy jest zawsze grzechem, ale ponieważ zabranie komuś kopiejki nie skrzywdzi go, a zabranie tysiąca rubli—skrzywdzi, więc należy pierwszy wypadek przebaczyć, a drugi ukarać. Targnięcie się na cudze życie jest także grzechem, ale jeżeli ktoś mając rozrąbaną głowę, nie umarł zaraz, trzeba mordercę osądzić łagodnie, jeżeli umarł zaraz, trzeba go osądzić surowo.

Na takich rozumowaniach utylitarnych, a nie na zasadach teoretycznych, wspiera się cała etyka dzisiejsza, mająca zamiast stałych probierzów, szalki z mnóstwem ciężarków, któremi odważa korzyści i szkody czynów ludzkich.

W ostatnich czasach prasa warszawska dość zgodnie, chociaż bezskutecznie, prawiła morały uczestnikom kilku szałów hazardu, który u nas często ma zastąpić pracę i jej dorobki. Ze szczególną zaś siłą karcono dwie gry: w totalizatora i w akcye. Totalizator wytrzymał tę burzę, a nawet rozrósł się w niej do małego „klubu cudzoziemców“ w M. Carlo; obroty akcyami osłabły. I tu właśnie wystąpił objaw, który ma związek z powyższemi uwagami o podstawach naszej etyki. Dopóki „Lilpopy“ i „Wagony“ robiły straszliwe skoki z góry na dół lub z dołu do góry, nasi stróże dobra społecznego nie zdejmowali rózgi z graczów, ale gdy szalony hazard ustał, gdy nawet akcye „zdrowe“ zaczęły przedstawiać widok zdychających cieląt, zaledwie poruszających ogonami, gdy ich kurs z dnia na dzień podnosił się lub opadał o kilkadziesiąt kopiejek, pogromcy gry zamienili się nagle na jej werbowników. W pismach, które nie miały dość silnych słów dla potępienia „orgii ażiotażu,“ zakwiliły żałosne skargi na „publi-

kę,“ która „z dziwną apatyą zachowuje się wobec walorów solidnych, odrzucających niewątpliwe zyski.“ Przyciszonym głosem i z zakłopotaną miną Arystydesi dziennikarscy, przedzierzgnięci w krupierów, wołają dotychczas: „Panowie i panie, czemu tak stoicie bezczynni! Przecież „Rudzki“ i „Bank handlowy,“ nawet „Lilpopy“ — karty dobre, któremi coś wygrać można. Nie chodzi o to, ażebyście akcyę sturublową podbijali odrazu do 1,000 rs., to nieprzyzwoicie, niemoralnie (!), niebezpiecznie; ale 100 rs. podnieść do 120, to nie szkodzi, to nawet bardzo zdrowo. No, dalej, przełamcie szkodliwą stagnacyę, trzeba wskrzesić ruch, tylko w granicach umiarkowania, skromności, bez krzyku i skandalu.“ Słowem: mały hazardzik nie zawadza, owszem, jest pożądany dla podtrzymania „ruchu,“ dopiero duży hazard jest ekonomicznie i moralnie niezdrowy. Przegrać lub wygrać 5 rs., to jeszcze coś szlachetniejszego, niż ukraść kopiejkę.

Ponieważ ogół jest karmiony taką etyką społeczną stale, więc warto się zastanowić, w czem właściwie tkwi złe: czy w samej grze, czy w wysokości jej strat i korzyści. Otóż chyba nie potrzeba być geniuszem ścisłego myślenia, ażeby dostrzedz, że to złe mieści się w grze. Ekonomicznie bowiem nie jest to szkodą, że pewna suma pieniędzy przesypie się z jednej kieszeni do drugiej, etycznie zaś proces taki ma swoją podstawę w ogólnie uznanym zwyczaju. Jeżeli mimo to gra jest złą, to jedynie przez swój wpływ na charaktery ludzkie, które znieprawia, odciąga od pracy, a często popycha do niecnych czynów. Więc na co nam jest koniecznie potrzebny ów „ruch w akcyach“? Jakie nieszczęście spadłoby na nas, gdyby one od pewnego dnia przestały się ruszać? Giełdowicze, matacze, szachraje, próżniacy, żyjący z cudzego znoju i trudu — „usiedliby nad wodami Babilonu o chlebie żebraczym,“ „zawiesiwszy na wierzbach swe harfy“... kurscetlowe, ale czy to nam sprawiłoby boleść? Czy my chłopi, ziemianie, robotnicy, urzędnicy, literaci, technicy, lekarze, nauczyciele, my wszyscy, którzy pracować musimy na utrzymanie pasorzytów społecznych, bylibyśmy poszkodowani lub strapieni tem, że jakiś spekulant nie kupił dziś „Rudzkiego“ za 500 rs. i po tygodniu nie sprzedał za 520 i nie „zarobił“? Powie ktoś, że w obecnym ustroju ekonomicznym przedsiębiorstwo finansowo-handlowe w miarę powodzeń lub niepowodzeń musi oddziaływać na kurs swych papierów. A więc niechże one „ruszają się“ przy wyraźnych zwrotach w rozwoju takich instytucyj. Jeżeli Bank dyskontowy wykaże bilansem znaczne zyski, które dadzą wyższą dywidendę, jest rzeczą naturalną, że jego akcye podniosą się w cenie. Ale jakież to dowody zmiany w jego operacyach spekulacya dostrzedz może każdego dnia lub tygodnia? Co ona zdoła dopatrzeć takiego w działalności banku, kolei, fabryki, kopalni, ażeby miała podstawę do podniesienia akcyj z wtorku na środę o 300 rs., a do zniżenia ich ze środy na czwartek o 305? Naturalnie — nic, oprócz sztuczek szwindlu. Owe tedy akcye mogą sobie spać spokojnie na jednym kursie od bilansu do bilansu i w interesie społecznym nie potrzeba ich budzić, a tem mniej podniecać sztucznie do szalonych pląsów. Ci zaś, którzy chcą koniecznie utrzymać je w „umiarkowanym ruchu“ za pomocą prądów baterыj dziennikarskich, niech nas nie łudzą pozorami dbałości o nasze zdrowie ekonomiczne, bo są również kusicielami i stręczycielami złego, tylko w „przyzwoitej mierze.“

Po bezmyślnych lub reklamą wydętych uniesieniach nad ubogą i najrozmaitszymi wyrobami przetkaną wystawą hygieniczną, nastąpiła chwila rozwagi i krytyki, potrzebnej nie dlatego, ażeby twórcom chybionego popisu sprawić przykrość, lecz ażeby trzeźwo i ściśle ocenić, jakie są warunki i czynniki naszego zdrowia, co my pod tym względem mamy i do czego jesteśmy zdolni. Blagą i okłamywaniem się nie umyjemy ani jednej brudnej skóry, nie wyprostujemy ani jednej rachitycznej nogi. Więc należy przedewszystkiem mówić prawdę. Przeciwko uwagom moim zaprotestował ktoś w *Kuryerze codziennym*, ale ponieważ dostojny mój przeciwnik nie wie ani o czem, ani z kim mówi i wprowadza do polemiki maniery reportera, który wracając z operetkowego przedstawienia w ogródku, klepie swego kolegę po ramieniu i powiada: „żałuj, że spałeś i nie widziałeś pysznego kankana“ — więc go pomijam. Odpowiem tylko paroma słowy na prywatny list dr. K. i tym wszystkim, którzy żądają od publicysty polskiego wyrozumiałości i pobłażania. Jeżeli twój syn, czytelniku, źle się uczy i prowadzi, a jednocześnie źle się uczy i prowadzi syn twego sąsiada lub znajomego, dla którego z tych chłopców będziesz surowszym? Dla twojego. Czemu? Bo go kochasz, bo pragniesz gorąco, ażeby on dużo umiał, był człowiekiem uczciwym itd. Jestże to pesymizm? Nie, to jest miłość. Z tego również źródła płyną wielkie wymagania względem społeczeństwa.

Poseł Prawdy.

WYSTAWA WSZECHSZWAJCARSKA.

II.

Ale skoro wystawa otwarta, zajrzyjmyż do jej wnętrza. Tylko uprzedzić muszę z góry czytelnika, że nie przytłoczę go zbyt szczegółami—od tego jest sama wystawa i jej katalogi — ale raczej podzielę się z nim tylko ogólnem wrażeniem. Oto jesteśmy w pałacu sztuk pięknych: lewe jego skrzydło zajmuje nowoczesna, prawe—starożytna. I tam i tu jest dużo do widzenia, ale mało co z tego zdolne jest wryć się w pamięć. Wynikać to musi stąd, że po za większością tych malowideł kryją się drobne dusze i mierne talenty. Stoi się przed takim obrazem zupełnie obojętnie i nie czuje wcale, żeby on poruszał jakieś głębsze pierwiastki duszy. A są to po większej części krajobrazy, dość wiernie odtwarzające piękną naturę szwajcarską, niektóre nawet nieźle wykonane pod względem artystycznym, ale cóż z tego, kiedy ich pierwowzory silniej wstrząsają sercem, niżeli one same. Może, przynajmniej co do mnie, przezto, że się jest twarz w twarz z majestatem przyrody—bez wątpliwej wartości pośrednictwa artysty. Można się przesunąć przed całą ich galeryą i doznać tylko mętnego wrażenia, że w jakiejś tłumiącej wrażliwość niedyspozycyi, poprzez okno wagonu w biegu, opchało się siatkówkę oczu fragmentami urwisk skalnych, jezior wąwozów, kaskad, dolin. Nie—nie wychodzi się z tego popisu sztuki szwajcarskiej głęboko zadumanym i spotęgowanym. Snać do oskrzydlonego artyzmu nie zdolny jest helweta, czy też może nie dorósł doń jeszcze. Ci ludzie albo za płaskie mają dusze, albo jeszcze nie rozbudzone. Coś im przeszkadza wzlecieć na Olimp. Czy nie dławią ich z jednej strony przepych darowanej im przez los przyrody, a z drugiej zaściankowość, jako fatalny dla orlich lotów twórczości estetycznej czynnik społeczny? Oni wprost wznieść się nie umieją ponad swoje góry wspaniałe, lodowce niepokalane, wodospady, świerki, szalety i kozy. Tyczy się to zresztą nie tylko artystów pędzla, ale i słowa. Cóż lepiej oświetlić może tę szczególną niemoc i to ubóstwo, jak nie życie sławnego genewczyka Amiel'a? Ten człowiek cały swój żywot strawił na pełzaniu po swej ruchliwej duszy, wykopał z niej całe foliały pamiętników subiektywnych, które dziś autor *Sonaty Kreutzerowskiej* uważa za pomnik niespożyty, zagrzebał w nich siebie całego wraz z talentem, nigdy nie zdołał wznieść się nad siebie, na niebotyczne wyżyny ducha, przeczołgał się aż do schyłku około swej psychy, której się stał istnym niewolnikiem, i doszedł do tego, że ani szerszych widnokręgów nie miał sił ogarnąć, ani wielkich wypadków i burz świata odczuć. Dzień w dzień, co godzina niemal, musiał kontemplować najdrobniejsze tętna swej powikłanej jaźni, wikłając ją siecią dość płytkich częstokroć myśli jeszcze bardziej. I musi być między nim a jego inteligentnymi współziomkami tajemna wspólność dusz, skoro oni jego *Memoire intime* nietylko z zajęciem czytają, ale i rozumieją go, i tak lubią, że aż kalendarze jego maksymami zdobią. Otóż, zdaje się, że względem malarzy szwajcarskich rolę duszy Amiel'a odgrywa ich otoczenie fizyograficzno-społeczne. Przytem nie mają oni w kraju ogniska swego, któreby, stanowiąc właściwy im, odrębny świat, było dźwignią i piastunem ich twórczości. Każde natomiast niemal miasto kantonalne za punkt ambicyi uważa mieć swoją kapliczkę artyzmu i posiada: własną wystawę, własne muzeum sztuki. Wygrywa może na tem t. zw. „demokratyzacya“ sztuki, ale traci dużo jej polot i oryginalność. Co gorsza, taki stan rzeczy pozwala duszy zaścianka tem mocniej opanowywać duszę artysty. Chyba jakaś świeża, kolosalna fala dziejowa, jakiś wielki ożywczy dreszcz społeczny, jeżeli wstrząśnie z czasem duszą gromady szwajcarskiej, to, porywając ją wogóle ponad poziomy tegoczesne, wypchnie z jej głębin odrętwiałych i prawdziwe, prześcigające Finsteraarhorny, szczyty geniuszu artystycznego. Tymczasem on śpi, ukołysany majestatyczną przyrodą i karłowacizną rzeczy. Jedynym olbrzymem talentu w dziedzinie malarstwa, jakiego dotąd wydała Szwajcarya, jest — Böcklin. Ale on nic nie nadesłał na popis wystawowy. Zbliżając się do tego przybytku, sądziliśmy złośliwie, że drobniuchne muzea wszystkich kantonów złożyły się chyba na przyozdobienie jego ścian i spodziewaliśmy się na nich znaleźć piękny obraz Böcklina („Ciszę morską“) ze zbiorów berneńskich. Ale nie — to są najświeższe płody pędzla szwajcarskiego. Moc tego jest wielka, lecz z wyjątkiem kilku starannych obrazków rodzajowych i widoczków wdzięcznych, kopiowanych z natury — reszta, jak rzekłem, szarzyzna. Tu i owdzie z jej tła wyskakują i usiłują zaczepić obojętnie defilującego widza — twory impresyonistyczno - symboliczne. Jednym z takich, nie symboliczny wprawdzie, ale jakoś kuglarsko-impresyonistycznie malowany, jest obraz Maxa, przedstawiający scenę z bytu ludzi okresu mieszkań nawodnych. Skąpane to jest jakby w atmosferze mitu. Jakieś bajecznej rasy, półnagie kobiety, trzymając na rękach gołe dzieci, stoją na rusztowaniu nadwodnem. W dole ku palom dopływa z ich mężami, obładowana łupem łódź. Zapadający zmierzch oblewa te postacie jakimś dziwnym, jędrnie tęsknym liryzmem, poprzez klatkę pali połyskuje wielka woda, w głębokiej obrazu tego dali, na śnieżnem czole gór, konają jakieś, budzące w widzu niezdrową rozterkę, chimeryczne, złotawo-seledynowe blaski. Wszystko to razem, jakby wyśnione, z podmiotowej *imagerie* artysty wytrysłe — jakby uzewnętrznione w barwach, westchnienie ku czasom pierwotnym. Cóż, kiedy trwałość tego dzieła, może w płochliwym nastroju poczętego, od nastroju widza zdaje się być zależną.

Najdzielniej natarł na uwagę publiczności i, kto wie, czy nie najskuteczniej,

szwajcarski symbolista Hodler. On snać postanowił sobie przemawiać do widza nie pierzchliwą symboliką barw, lecz stateczną symboliką kształtów. I kto widział te obrazy, nie wyrugujo ich z pamięci, chociażby się przed nimi zasłaniał najgęstszą siecią najbardziej utartych, swoich i cudzych sądów, tj. wypierał się ich w imię jakiegobądź konwenansu, zdrowego rozsądku czy też „hygieny umysłowej...“ One wdzierają się w sferę wewnętrznej intuicyi widza, pomimo czujnej straży myśli, i tam, już to w obrazowo-wzruszeniowym namule samorzutnej twórczości jego marzeń sennych, już to w jakichś innych, ślepych, nieznanych, wiodących samoistny byt pod progiem sfornej, przyzwoitej świadomości, pierwiastkach jego duszy znajdują wiernych a życzliwych, z ładu zewnętrznego szydzących, sprzymierzeńców. O to zapewne idzie ich twórcy. Na tem też prawdopodobnie polega psychologiczna istota tego iście „ekscentrycznego“ kierunku sztuki i zagadka zawiązującej się zwolna między pewnemi duszami widzów a nią, tajemnej, niedającej się sformułować spójni. Bardzo być może, iż ten nowy zwrot, w gruncie rzeczy, jest instynktową wyprawą plastyki malarskiej do zaniedbanych, pokrzywdzonych przez wiekową, powierzchowną kulturę mieszczańską, pokładów dusz współczesnych, względem których czy nie gra już czasem na dobro roli wyrazicielki, orędowniczki, organizatorki?

Będące w mowie obrazy Hodlera—nazw ich, wybaczcie, nie pamiętam, bom zwiedzał wystawę nie w bedekierowski sposób, nie dla regestrów i tytułów, lecz treści — odznaczają się dziwną prostotą pomysłu. Ale cały sens tkwi w pozie i niemej mimice osób. Na oschłej, z heblowanej deski złożonej ławce, pod gołem niebem, w odludnej przestrzeni, usiadło pięć ludzkich postaci, czterech starców i jeden młodzieniec. Wszyscy, prócz młodzieńca, w jednakowych długich czarnych szatach. Młodzieniec siedzi w środku i ma po swojej prawej stronie dwóch starców i po lewej też dwóch. Coś ich łączy, coś stało się. Jakieś brzemię ogromne zwaliło się na ich dusze i tłoczy je. Z odkrytemi głowami siedzą na tej ławce, nad nimi wisi niezmącenie pogodne i skwarne niebo, za nimi leży jałowe, głazami świecące wzgórze, pustka dokoła. Wszyscy pięciu pochyleni są nad kolanami ku widzowi — i tem pochyleniem wyrażają jakby wspólność jakiegoś zdarzenia, które ich tu zgromadziło. Ale co osoba, to inny stopień i odcień mimicznego ujawnienia tego, co zaszło. Najgłębiej i najszczerzej pochłonięci tem czemś i najbliżsi sobie rozpaczą jakąś są trzej środkowi: młodzieniec i dwaj po obu jego bokach starcy. Ale i tu są stopniowania. Znać to po niejednakowem rozwarciu kąta pochylenia bioder ku udom i po sposobie podparcia głowy rękami. Młodzieniec założył nogę na nogę i, podparłszy się ręką, tak się skulił, że brodą prawie tyka kolana, a tułów ma niemal równolegle do ziemi. Jeden starzec, oparty łokciami o kolana, twarz ukrył całkiem w dłoniach, drugi znów po swojemu wyraża, co czuje. Tylko dwaj skrajni, jeden o wygolonej i pomarszczonej, jak figa, twarzy, drugi brodaty, znać, że dla przyzwoitości jakby dostroić się usiłują jeno. Ale trzeba widzieć te twarze i ich wyrazy.

Dwa inne płótna hodlerowskie — nie wpatrujmy się w nie lepiej. One ku sobie wabią niezdrowo i budzić są zdolne chorobliwą chęć osmagania ich. Tu klęczy nagie, wymizerowane, trzęsące się, ziemisto-zielonkawe dziecko, a nad niem zwiesza się kilka, pierwotnego rysunku, topielczych, sztywnych widm świętych. Nogi, jak rybie płetwy, wiszą im w powietrzu, płaszczami opierają się o ziemię. Tam znów, na innym obrazie, podąża gdzieś gęsiego kilku, w jasnych, długich sukniach — rumianych, łysych, drwiąco pobożnych dziadów. Wszystko to są dziwolągi, wyrwane otchłaniom senno-gorączkowych majaczeń. Publiczność przed tem się tłoczy i przygląda *beante*, pytając: *wo ist die Katze?* Ale my odwróćmy oczy i poszukajmy w innych działach wystawy geniuszu Szwajcarów. I nie każcie mi, żebym włóczył waszą wyobraźnię po oddziale sztuki starożytnej: to są staroświeckich stylów zbiory sprzętów, gałganków zatęchłych, kubków, waz srebrnych i złotych, porcelany i zegarków. Nie gubmy się w tem i nie pełzajmy po tem, póki wolni jesteśmy od manii kolektorskiej.

Przebieżmy pomost napowietrzny, łączący Park sztuk pięknych z drugą grupą wystawy. Jeszcze malarstwo? Nie — to tylko „artystyczna“ reklama mydła firmy Sunlight, nie syta rozgłosu codziennego, który jej zapewniają tramwaje genewskie. Dowcipny pomysł! W najruchliwszem przejściu, kędy codzień tysiące *visiteurs*'ów przepływają, umieszczono pod otwartem niebem, w prawdziwym *pleine-air*'ze, dwa kolosalnych wymiarów, sławiące niezrównaną dobroć mydła tego, obrazy. Na jednym pułk chwackich, czysto umytych mydłem firmy i marsowato uśmiechniętych wiarusów salutuje publiczność. Na drugim tłum hożych, szczerzących zalotnie do przechodniów białe zęby, praczek — z pełnymi szaflikami upranej mydłem firmy bielizny. Czemu który z naszych nie wpadł na ten figiel?

(D. n.)



BADANIA NAUKOWE.

EKONOMISTYCZNE POJMOWANIE WIEKÓW ŚREDNICH.



II.

Cóż mogło być podstawą i pierwowzorem zobowiązań i stosunków, jakie się między tymi szczeblami hierarchicznymi wytwarzały? Wśród powszechnego zniszczenia i przetopienia instytucyj poprzednich, przetrwała jedna, i stała się naturalnym punktem wyjścia, rozsadnikiem nakazów moralnych i obyczajów, które z niej zostały przeszczepione na nowy grunt historyczny: była to rodzina i rodzina patryarchalna. Stosunek wasala do zwierzchnika ukształtował się według żywego wzoru, jakim był stosunek członka rodziny do jej głowy, ojca; wyraz *vassal*, pochodzenia celtyckiego, oznacza sługę niewolnego, domownika. Lenność nazywa się w dokumentach współczesnych *familia*. Między panem a wasalem zapanował stosunek czysto rodzinny: drugi nie mógł nic czynić bez pozwolenia pierwszego, pierwszy — bez rady drugiego. Wzamian za określone daniny i powinności wojenne ze strony wasala, zwierzchnik miał obowiązek nietylko bronić, lecz, w razie potrzeby, dosłownie karmić i odziewać wasala, opiekować się jego żoną i dziećmi. Prawo sądu zwierzchnika w sporach wasalów jest prostem przeniesieniem w tę dziedzinę prawa sądu ojcowskiego. Na tej rodzimej podstawie, przekazanej przez ustrój poprzedni, lecz rozszerzonej przez warunki nowe, powstała cała budowa społeczna. A potrzeba łączności dla obrony była tak silna i z początku tak wolna od wszelkich czynników, mogących ją podkopywać, że budowa nabyła wielkiej trwałości i równowagi. Ludzie, poprzednio zatomizowani i rozproszeni, obecnie rozstawieni każdy na pewnym gruncie, z określonemi czynnościami i warunkami, przylgnęli do siebie całą siłą, zwarli się moralnie. W XII stuleciu jedynem marzeniem i ideałem wszystkich jest pokój: nie ma prawie dokumentu współczesnego, któryby go nie wysławiał w najbardziej wzruszających wyrazach. A pokój nie oznacza tylko braku wojny, lecz miłość i harmonię wzajemną między ludźmi, która panuje też od dołu do góry ustroju społecznego. Mnóstwo charakterystycznych przykładów, których tutaj niepodobna przytaczać, świadczy o zupełnem oddaniu wasala dla zwierzchnika, nie wyłączając najniższego: chłopa, poddanego. Bunty chłopskie zaczynają się dopiero później.

Przejście od rodziny do lenu, do udzielnej baronii nie jest dość zrozumiałe bez ogniwa pośredniego, jakiem była grupa herbowa (zawołanie, *mesnie*), łącząca pewną ilość spokrewnionych rodzin. Szereg: rodzina, grupa herbowa, lenność udzielna, wydaje się Funckowi-Brentano analogicznym z następstwem form starogreckich i starorzymskich: rodzina, fratrya lub kurya, pokolenie (*tribus*). Podobieństwo organizacyi średniowiecznej do starożytnej wykazuje on w uderzającym przykładzie: pierwsza wyprawa krzyżowa jest zupełnie podobna do wyprawy trojańskiej. Takie same rzesze zupełnie niezależne, które nie były niczem innem, jak grupami rodzinnemi, ciągnące pod swoimi wodzami, łączące się w jedną — i to niezmiernie liczną — całość i pod jednym, prawie niesłuchanym wodzem, dopiero niemal pod murami obleganego miasta, wobec groźnego nieprzyjaciela.

Jak rzeczpospolita, *polis*, *urbi* z pokoleń i ponad niemi, tak ponad udzielnemi państwami feodalnemi, lecz na tych samych, co one, zasadach, powstało królestwo średniowieczne. Było ono, jak cała ta organizacya, naturalnym wypływem powszechnego dążenia do bezpieczeństwa i opieki. Lenności, zorganizowane i zjednoczone wewnątrz, toczyły między sobą walki; rycerze rozbijali na drogach. To też pierwszą czynnością królów francuskich była policyjna na drogach publicznych. Pierwsi Kapetowie, Robert Pobożny, Ludwik Tłusty, całe życie byli takimi żandarmami przeciw feodałom. Do tej czynności przyłączyła się z natury rzeczy funkcya najwyższego sędziego, w której tak się wsławili królowie feodalni. Król stał się jedynem, najwyższem źródłem sprawiedliwości. Stosunek jego do wasalów i do całego ludu był również w istocie swej czysto ojcowski i takim się rzeczywiście wydawał ludowi, jak świadczą o tem dokumenty. Królestwo było prawdziwem *patrocinium*, ojcowstwem, i stąd poszedł jego późniejszy boski charakter, w który wierzono do tego stopnia, że król nieraz dokonywał cudownych uzdrowień, przekazując tę zdolność następcy. Ponad klientami i opiekunami, rozstawionymi na ogromnej ilości szczebli, był on opiekunem najwyższym i obrońcą. Funck-Brentano twierdzi, że ta epoka, według swej przeważającej, istotnej cechy, powinnaby się nazywać nie feodalną, lecz *patronalną*.

Władza jednak królewska, będąc najwyższym szczeblem organizacyi patronalnej, stała się też pierwszym szczeblem ustroju nowego, zwanego przez naszego autora „administracyjnym.“ Średniowieczczyzna zginęła, przekształciła się przez dalszy rozwój swych własnych pierwiastków. Można wykazać z dokumentami w rękach, że dzisiejsi ministrowie rzeczypospolitej francuzkiej są w prostej linii, ciągnącej się przez nieprzerwany szereg stopniowych, niedostrzegalnych niemal zmian, następcami urzędników dworu królewskiego, którzy znowu pierwotnie byli domownikami w dosłownem znaczeniu tego wyrazu. Koniuszy (minister wojny), podkomorzy (skarbu), kanclerz

(sprawiedliwości) itd. itd. były to *ministeria domestica*. Administracya powiększających się ciągle ziem królewskich zmuszała do powolnego wytwarzania hierarchii urzędniczej, biurokracyi. Rosnący nawał spraw zmuszał króla do powierzenia swej władzy sądowej pełnomocnikom, przedstawicielom. Wiadomo jednak, że jeszcze Ludwik IX Święty, który był uznany za świętego, za najdoskonalsze wcielenie cech, właściwych ustrojowi patronalnemu, niezbędnych do jego działania i utrzymania, sądził osobiście pod dębem w Vincennes. Zastępuje go wszakże w tej czynności już rada przyboczna, bezpośrednia następczyni rady rodzimej, „parlament.“ Sądzi on jedynie w imieniu i zastępstwie króla, nieraz w jego obecności; ale z czasem uniezależnia się i wchodzi z nim w antagonizm. Gdy Ludwik XV zjawia się w łonie parlamentu, palestra i mieszczaństwo uważa to za krzyczące nadużycie władzy. To, co było z początku wypływem i dopełnieniem, stało się przeciwieństwem groźnem. Król, najwyższy rozjemca, był z początku jedynem źródłem sprawiedliwości: gdy później ta przeżyta już zasada objawiała się logicznie w osławionych „Cettres de cachet,“ było to nadużyciem. Feodalizm, podobny w tem do każdego ustroju, do każdej formy, zniszczył sam siebie, a narzędziem była władza królewska. Królestwo samo dokonało prawie zupełnie zamiany patronalnej Francyi na nowożytną, zcentralizowaną, biurokratyczną i równościową. Rewolucya, Napoleon, strząsnęli tylko, jak się ktoś wyraził, gotyckie ornamenty ze ścian już wybudowanych koszar nowożytnych.

Pierwszorzędną rolę w tem przekształceniu Francyi odegrało, jak wiadomo, mieszczaństwo. Jakaż jest jego historya w wiekach średnich, a przynajmniej w badanym przez nas okresie od wieku X do XIII? Funck-Brentano, choć, jak się zdaje, nie zna wcale dyalektycznego determinizmu ekonomicznego, pojmuje ją i kreśli zupełnie tak, jakby najgoretszem jego pragnieniem było potwierdzenie zasad tej teoryi.

Dyalektyzm transformistyczny stoi już u kolebki mieszczaństwa, zawiera się w tłomaczeniu genezy miast. Romanizm, wyprowadzający prawa i ustawy miejskie średniowieczne z municypiów rzymskich, — germanizm (A. Thiery), widzący ich początki w gildyach skandynawskich, — obie teorye i w tej dziedzinie nie wytrzymują krytyki. Miasta również samorodnie wyrastają z organizacyi rolnej, wiejskiej. Przeciwieństwo między życiem miejskiem i wiejskiem, między temi dwoma żywiołami, nieraz między temi dwoma światopoglądami, dziś tak głębokie i nieraz tak dziejowo tragiczne, wypłynęło, według teoryi Funcka-Brentano, z pierwotnej jednolitości. Byt wiejski przez swój własny a konieczny rozwój wydał swą własną antytezę.

W XIII wieku liczymy 500 miast we Francyi, ale między niemi jest tylko 90, które pamiętają wiek IX. Reszta wyrosła jak grzyby po deszczu. Dawne miasta gallo-rzymskie zniknęły, stoją w gruzach, padły pod ciosami walk wewnętrznych i najść wikingów normandzkich. Nowe miasta — są to poprostu „wille“ panów rolnych, powiększone i ufortyfikowane. Konieczność obrony, pierwszy warunek ówczesnej produkcyi rolnej, nagromadziła w pewnych wsiach więcej ludności, skłoniła do gruntowniejszego umocnienia tego przytułku. *Ville fermée* jest w owych czasach synonimem *bonne ville*, a przymiotnik *bonne*, dobry, spotyka się w każdym niemal ówczesnym dokumencie miejskim.

Podstawą ustroju miejskiego stała się znowu jedyna instytucya, co przetrwała burzę: rodzina. Przekonywamy się o tem, badając byt i prawa miast, jak np. Brunszwik, Gandawa, Kolonja, Sztrasburg itd.; najwyraźniej dostrzedz można ślady tej organizacyi w Metzu. Metz ówczesny dzieli się na pięć ostro rozdzielonych dzielnic, zwanych *voisinages*, *quartiers*, a również: *paraiges*, *lignages* i po łacinie: *parentela*, *consanguinita*, *cognatio*, — *familia*; w Kolonii były to *Geburtschaften*, w Gandawie — *Gebürten*, w Sztrasburgu — *Heimschaften*. Dzielnice te zawierają każda pewną ilość poddziałów, których nazwy są poprostu nazwiskami rodzin; nazwy dzielnic (w Metzu np.: Porte-Meselle, Jurus, Saint-Martin itd.) są albo również nazwiskami rodzinnemi, albo nazwami miejscowości, leżących w sąsiedztwie miasta. Otóż te dzielnice — są to poprostu gromady rodzin spokrewnionych, które przybyły do miasta z różnych okolic, nieraz z ziem różnych panów feodalnych. Ten ostatni wypadek zdarzał się w wielu miastach, które powstały na granicy dwu, albo kilku lenności, czy to, że granice te były naturalne, jak rzeki, czy też, że sprzyjały temu zawiązujące się stosunki wymienne między lenami. Każda z tych grup krewniaczych, luźnie połączonych we wspólnem obronnem obozowisku, przynosiła z sobą swoje obyczaje i tradycye, któremi nadal rządzić się nie przestawała. Nieraz swe urazy i spory z innemi grupami, które, łącząc się ze sporami o przewodnictwo w mieście, wywoływały zacięte walki, przekazywano z pokolenia na pokolenie aż do znacznie późniejszych czasów. Tem się tłomaczą owe krwawe boje wewnętrzne między różnemi częściami miasta, które odnajdujemy również np. w Nowogrodzie. Dzielnice nie miały tedy z początku prawie nic wspólnego ze sobą; żaden ogólny zarząd miasta nie istniał. Pierwszym i jedynym zrazu interesem wspólnym było utrzymanie w dobrym stanie fortyfikacyj; to też pierwszym ogólno-miejskim urzędnikiem staje się burgrabia, przełożony nad wałami.

(D. n.).



LITERATURA I SZTUKA

LITERATURA POLSKA.

Exterus, *Po zdrowie*, powieść. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1896, str. 303.

Miesięcznik *Ateneum*, który powieść tę drukował w czterech tegorocznych swoich zeszytach, tak się o niej wyraża z okoliczności książkowego jej wydania: „naturalność i żywość opowiadania, wątek interesujący, rozwinięcie tego wątku swobodne, bez żadnych naciągań, delikatne dotknięcie w przedstawieniu sytuacyi i stanów duszy drażliwych, psychologia osób jasna, zrozumiała i dobrze umotywowana, styl potoczysty, język poprawny, a niejednokrotnie bardzo ładny“ (t. II, str. 508). Jednocześnie sprawozdawca zaświadcza, że „jest to talent młody, który po raz *pierwszy* z większą pracą wystąpił...“

Możnaby się chętnie zgodzić z recenzentem na to ostatnie twierdzenie, gdyby nie okoliczność, że pod piórem nieznanego dotąd pseudonimu wszystkie powyżej wyliczone zalety, po bliższem rozejrzeniu się w fabule, charakterach, w sposobie wiązania scen pojedynczych i nastroju ogólnym, powlekają się odblaskiem trybów wytwórczych doskonale i oddawna znanych w piśmiennictwie polskiem. Jeżeli do powieści „Po zdrowie“ nie dotykał się Henryk Sienkiewicz, to już z pewnością pisał ją ktoś, co duchem i manierami Sienkiewicza przejął się do stopnia, po za którym pisarz przestaje być sobą. Oczywiście, że chcąc dokładnie, niezbicie dowieść tego twierdzenia, trzebaby trzy czwarte książki przeczytać i przytoczenia te zestawić z dobrą połową odpowiednich wyjątków z Połanieckich. Ale nie znajdzie się z pewnością ani jeden u nas krytyk, któregoby nie uderzyło zanadto żywe pokrewieństwo dusz Exterusa — szczególnie niewieścich — z duszami Sienkiewicza. Wrażeniu tożsamości niepodobna się oprzeć szczególnie wobec sztukmistrzowstwa tej optyki sienkiewiczowskiej (z ostatniej doby), która czyni, że w miarę posuwania się akcyi, bialutkie i czyściutkie na razie gołębiczki przeobrażają się stopniowo na ponuro, zasępione i jak węgiel czarne wrony albo i gorzej (Adelka np.). W mężczyznach znowu — w tym np. Ruszczycu Exterusa (z czasów studenckich, przed ożenieniem się), który o sobie powiada: „narzeczoną już mi wybrali, podobno ładnie wyrasta, ożenię się, podam się na posła, jeśli zobaczę, że to warto i że będę mógł coś zrobić niezłego, a jeśli nie, osiądę na wsi, rozszerzę ciasne wnętrza chat i pojęcia głów chłopskich, urządzę dla własnej przyjemności galeryę obrazów i kilka dorocznych polowań i jakoś to będzie“ (str. 10) — w takich zniechęceńcach i estetach ślepy już nawet namacałby grubo, niedokrwiste żyły Petroniuszów i Płoszowskich.

Rzecz dzieje się w Meranie, w gronie wykwintnych suchotników, moralnych rozbitków i umysłowych niedojdów, z którymi Sienkiewicz rozstanie się dopiero w łaskawie przyrzeczonych „Krzyżakach.“ Opowiadanie w formie wspomnień prowadzi tym razem niejaki mecenas Antoni, żywcem odgrzebany poczciwiec z „Tej trzeciej.“ Udaje się on w interesach do Paryża, wstępuje na parę tygodni dla odpoczynku i na winogrona do Meranu, spotyka koleżkę Ruszczyca, zapytuje, czy tu przypadkiem nie poznał pani Keszmarowej i Maryi Zawiełłówny, dowiaduje się, że tak jest, więc podążają razem do willi zwanej „Parvą“ i znajdują w niej kilka par gości, rozbawionych jak na popasie. Wszyscy swoi i mniej więcej bliżey znajomi, oprócz *Rumuna* Martynoff'a, adoratora Adelki. Niezadługo „zrobiło się gwarno, siadano gdzie kto chciał i gdzie kto mógł, żartowano, śmiano się, a samowar wtórował jednostajnym szumem...“ Wieczór ten na długo utkwił w umyśle Exterusa-Sienkiewicza (czyli „mecenasa“). „Od owej wesołej herbaty na tarasie — pisze — upłynęło lat kilka, a ja dziś jeszcze mam przed oczami cichą noc, niebo bez chmurki, drzewa skamieniałe wśród idealnego spokoju, krzewy przyprószone srebrem księżyca i ten biały taras i owe młode, piękne i szczęśliwe twarze. Jak dziś widzę wesołą twarzyczkę Maryni, przekomarzającego się z nią poczciwego kaszlącego Litwina (Włostowicza), panią Adelę z twarzą Madonny i falującymi włosami cyganki, poważne oczy Zosi i czysty profil Ruszczyca. Pani Adela była rozbawiona i wyglądała obok jasnowłosej Julki jak kwiat lotosu obok skromnego modraka; miała u stanika białą różę, a takąż samą wpiął w klapę surduta Martynoff, zapatrzony i prawie nieprzytomny“ (s. 37, 38).

Wyszukanie bezcelowa językowo-miłosna szermierka pięknych pań i panów, ich sadzenie się na artystyczne sans-façon mussetowskie w oprawie czułostkowości rodzimie niby to polskiej, chorobliwa przesada wrażeń tkliwych, powodujących odruchy wybuchowe, wylania gwałtownie rzewne a płytkie — całą tę powierzchowną psychologię Sienkiewiczowską, nagumowaną w dodatku refleksyami filozoficzno-pesymistycznemi, lekkiemi jak opadający na wiatrze bawełniany puszek, odnajdujemy w Exterasie w powtórzeniu dosłownem. Oto Zosia gra na tarasie. Powietrze drga pieśniami Chopina... „O dzi-

wy! toż to fujarka, nasza, rodzima, toż to krakowiak!.. Pod lasem łąki, zielone, wilgotne, bezbrzeżne; opary się podnoszą i płyną, niby senne duchy, niebo ciemnieje, gwiazdy na wyścigi otwierają oczy złociste, księżyc wszedł i patrzy; zdaleka majaczy szereg chat, a w każdej płonie czerwone światełko; psy poszczekują od wsi, na łąkach rżą konie spętane; na wielkiej szarej kupce siedzi chłopię-artysta i z prostej, na jarmarku kupionej fujarki takie cudne wydobywa tony.. Ukryłem twarz w dłoniach; fujarka grała raz głośniej, raz ciszej... Opodal siedział Ruszczyc, bardzo blady... Julka i Marynia oplotły się ramionami i przytulone do siebie patrzyły w gwiazdy..." Zosia grać przestała... Siedziała teraz „z rękami opuszczonemi na kolana, była zarumieniona, oczy jej błyszczały. Ukląkłem, porwałem jej rączki, całowałem je, chciałem dziękować, ale widocznie mówiłem same głupstwa, bo dziewczyna poczęła się uśmiechać i kiwać główką... — Proszę, przynieś mi pan wody... zmęczyłam się bardzo — rzekła wreszcie, odbierając mi rączki i chowając za siebie." Zosia omdlała... Ruszczyc wybiegł, Adela „klękła obok pobladłej dziewczyny, całowała jej przezroczyste ręce i rozcierała je delikatnie... koło serca zrobiło mi się dziwnie miękko, Zosia starała się uśmiechnąć, ale nie udawało jej się... Julka i Marynia miała oczy pełne łez, a ja w obawie, że także rykne jak baba, wybiegłem na taras. Otoczyła mię noc — odetchnąłem pełną piersią, a po chwili zacząłem prawić sobie morały: Waryat jesteś, panie mecenasie! waryat, idyota i kretyn!" (43—55).

Dla uzupełnienia fragmentowych tych motywów z „Janka muzykanta," „Latarnika," „Tej trzeciej," Bez dogmatu," przybywa niebawem dziecinna zwrotka z „Połanieckich" pod postacią małej Jani, a z nią chuchania, dmuchania, niańczyne pieszczoty, jak niegdyś z córeczką Chwastowskiej. Przybywa także domierający na dole willi, wożony na wózku młody doktór, bakteryolog, Leon Krzycki; na pierwszą znajomość mała Jania rzuca mu z balkonu różyczkę — z czego powstaje popłoch, zamieszanie, a stąd gremialne odwiedziny chorego, serdeczna nad nieborakiem opieka Adeli „o twarzy Madonny, o włosach cyganki" i beznadziejna ku niej miłość suchotnika, przypominająca w niektórych szczegółach gorączkowe płomyki poety Zawiłowskiego. Jest i strzał — tylko niepewny pod względem kierunku samobójczego i pochodzący nie z zawiłowskiej ręki Krzyckiego; strzela do siebie (czy też do Adeli) rumun Martynoff... Tymczasem w oddaleniu dyskretnie ukazują się realni zwycięzcy i posiadacze anielsko-jaszczurczego, wdowiego serca Adeli, jeden dawny, drugi przyszły — doktór Męcki o szerokich barkach a krępej szyi i milioner Jałbrzykiewicz, który tymczasowo obwozi po Meranie rozmaite tancerki i aktorki wiedeńskie, pompatycznie kłania się kapeluszem naszemu towarzystwu na przechadzkach, wlepia bezmyślne oczy w panią Adelę i porusza grubemi wargami, „jak głodny na widok befsztyku z polędwicy" (136). Polędwica wpadnie Jałbrzykiewiczowi w łapy dopiero pod koniec powieści, bo w środku obcałowuje Adelę dr. Męcki na schadzkach i w listach skandalicznych, z których jeden wpada trafem w ręce mecenasa. „Czyni się" ta historya w trakcie, kiedy Krzycki, zdrowiejąc stopniowo, coraz idealniej rozmarza się w Adeli, a bladnący raz po raz Ruszczyc topi boleść słomianego swego małżeństwa w cudownych blaskach oczu Zosieńki — jak się o tem przekonywa nasz mecenas na jednej z wycieczek w góry i wąwozy merańskie, gdzie — trafem również — przyjaciela podsłuchał i zarazem pochwycił rumieniec żywy na twarzyczce Zosinej, podobnej do delikatnego listka narcyza."

Baśń drobiazgowo skomplikowana i błaha, wyprzędziona z tematów cudzych i nikłych, nanizana na dyalogi pajęcze, skropiona rosą łez tęczowych — z zakończeniem chmurnem, niemal szpitalnem, jak w najdawniejszej, początkującej powieści Sienkiewicza „Na marne" — w tem mistrzowstwo domniemanego, czy też rzeczywistego Exterusa i w tem prośba dla przyszłości jego niezaprzeczonego zkądinąd talentu. Owe „zkądinąd" tkwi głównie w nieporównanym wdzięku frazesu malowniczego, przeważnie krajobrazowego; takich ślicznych pejzażyków jak na str. 4—6 lub 182—184 pozazdrościłby autorowi „Po zdrowie" nawet autor „Za chlebem" i „Przez stepy..." A co do reszty możnaby i Exterusowi i Sienkiewiczowi i legionowi innych naszych powieściopisarzy powiedzieć słusznie słowami mecenasa do Ruszczyca: „Wy bo wszyscy pofiksowaliście tu na punkcie miłości. Próżnujecie i z nudów wmawiacie w siebie najróżnorodniejsze głupstwa. Niby to leczycie się... leczycie się... a rzeczywiście uprawiacie flirt; wytwarzacie sobie urojone zmartwienia i hodujecie sztuczne uczucia jak ablegry pod szkłom" (128). Tłómaczenie się, że nie ma też i w życiu nic więcej i nic nad to, co się daje w powieści — nie może być przyjęte, jako apriori fałszywe. Kędyś, po zakątkach, na skraju lasów, pod ugorami, w zaroślach, wśród moczarów, — kryć się przecież muszą źdźbła czegoś nieskończenie tęższego, dzielniejszego, prozaiczniej a mocniej borykającego się z niedolą bytu, skoro społeczność trwa jeszcze, drga, oddycha...

***

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

— Ukazała się w druku praca z dziedziny matematyki wyższej p. t. „Zasady rachunków wyższych." Autorem jest A. J. Stodółkiewicz, który przed paru laty ogłosił także „Zbiór zadań na kwadratury równań różniczkowych" (Warszawa, 1892) W „Zasadach rachunków wyższych" p. S. przedewszystkiem bardzo szczegółowo rozwija teoryę różnic. Teorya ta dla funkcyj wielu zmiennych niezależnych nie była dotąd przez nikogo traktowaną. Analogicznie do teoryi różnic autor rozwija nową zupełnie teoryę przyrostków wykładniczych i na niej opiera nowy rachunek nieskończonościowy pod nazwą rachunku wykładniczkowego. Na samym początku jest on nieco podobny do rachunku stopni Hoene-Wrońskiego; dalej jednak pierwszy znacznie się różni od drugiego.

— Nakładem księgarni Giarda i Brière'a (16 rue Soufflot) w Paryżu wyszedł świeżo drugi tom rocznika „Annales de l'Institut International de Sociologie," wydany pod redakcyą dra Renego Wormsa i zawierający prace drugiego międzynarodowego zjazdu socyologów, odbytego w Paryżu w październiku r. z. pod przewodnictwem prof. M. Kowalewskiego. Tom o 460 stronicach obejmuje referaty R. Wormsa, S. Steinmetza, Combes de Lastrade'a, Abrikosowa, Westermarcka („Matryarchat"), Gumplowicza, M. Kowalewskiego (Historya przejścia od własności zbiorowej do indywidualnej), Lilienfelda, L. de la Grasserie, Kazimierza Krauza („Prawo retrospekcyi przewrotowej wobec teoryi naśladownictwa"), M. Goldberga („Początek ras i podział pracy"), oraz kilka referatów o „Zbrodni z punktu widzenia społecznego," przez autorów, mających różne poglądy, jak Toennies, Ferri, Garofalo, Manouvrier, Tavares de Medeiros, Puglia itd. Obok każdego referatu streszczone są o nim rozprawy. Na liście członków instytutu socyologicznego figurują, oprócz dawnych, niektórzy nowi (w obydwu kategoryach: *membres* i *associés*): Bogisic, minister sprawiedliwości w Czarnogórzu; Conrad, profesor ekonomii w uniwersytecie w Halli; Espinas, prof. uniwersytetu w Bordeaux i Paryżu; Giddings, profesor socyologii w Columbia College w Nowym Jorku, de Roberty; Van der Rest, profesor wolnego uniwersytetu w Brukselli; Zygmunt Balicki; Borys Minzes, prof. szkoły wyższej w Sofii; Revon prof. prawa w uniwersytecie w Tokio itd.

Książki użytkowe. Dr. J. Zawadzki: *Ważniejsze zdrojowiska* (str. 95). Są to krótkie informacye co do położenia miejsc leczniczych i kosztów pobytu

* *

Konkursy. Komitet Towarzystwa sztuk pięknych podaje do wiadomości członków kolonii artystycznej, iż w lutym roku przyszłego odbędzie się konkurs malarstwa i architektury. Do działu tego nadają się: obrazy olejne, akwarele, pastele, kartony i rysunki, wykonane w ciągu lat trzech ostatnich, jeżeli nie były umieszczane na wystawie Towarzystwa lub innej w Warszawie. Za dzieła konkursowe z dziedziny malarstwa, mające istotną wartość artystyczną, przeznaczone są trzy nagrody pieniężne: rs. 400, 200 i 100. Na konkurs architektury kwalifikują się wszelkiego rodzaju kompozycye, w zakres budownictwa wchodzące, w szkicach, projektach, modelach tudzież fotografiach dzieł wykonanych. Rysunki dopełniające i objaśniające główny przedmiot pracy konkursowej, jak plany, oraz przecięcia, mogą być przedstawiane pobieżnie na małą skalę. Prace szkolne i akademickie mogą być wystawione z odpowiednią wzmianką o wystawieniu po za konkursem; tj. bez prawa ubiegania się o nagrody. Za dzieła konkursowe z dziedziny architektury, mające istotną wartość artystyczną, przeznacza się dwie nagrody pieniężne rs. 400 i 100. Nie kwalifikują się na konkurs tak malarstwa, jak i architektury wszelkie kopie i dzieła artystów zmarłych. Deklaracye w formie zwyczajnej korespondencyi pod adresem komitetu Towarzystwa przesyłać należy przed d. 3 stycznia 1897 r. Należy przytem zamieścić treść dzieła, dokładny adres artysty z krótką wiadomością, gdzie i kiedy się urodził, oraz w jakiej szkole otrzymał wykształcenie artystyczne. Prace konkursowe nadesłane być winny do lokalu wystawy Towarzystwa sztuk pięknych najpóźniej do d. 15 stycznia 1897 r., do godziny 3-ej po południu.

Salon artystyczny na Nowym Świecie w Warszawie ogłosił konkurs na krajobraz najlepiej malowany. Warunki: 1) Temat- Krajobraz. Figury i zwierzęta mogą być pomieszczone, lecz jako przedmiot dodatkowy. 2) Pomiary obrazu najmniejsze metr w jednym wymiarze. 3) Sposób malowania dowolny: olejny, akwarela lub gwasz. 4) Dzieła, nadesłane na konkurs, muszą być na miejscu (Nowy-Świat Nr. 27) najdalej do d. 10-go października r. b. 5) Wystawa konkursowa otwarta będzie do d. 15-go października r. b. 6) Kwalifikacyą dzieł zajmie się delegacya Salonu, która tylko prace, odznaczające się istotnemi zaletami, przyjmować będzie. 7) Dzieła artystów pozamiejscowych mogą być nadesłane na koszt Salonu, przyczem uwzględnione będą tylko wydatki przewozu (fracht). 8) Koszty przesyłki obrazów niekwalifikujących się do konkursu, całkowicie ponosi twórca. 9) Nagrody dwie, każda po 100 rs., z których jedna przyznana będzie wyróżnionemu krajobrazowi przez artystów, nie biorących udziału w konkursie, druga zaś większością głosów przez publiczność, zwiedzającą wystawę podczas jej trwania do d. 1-go grudnia r. b. 10) Nagrody wypłacone będą niezwłocznie po obliczeniu głosów, złożonych tak przez artystów, jak przez publiczność.



POMYŚLNY ZWROT.

Na zjeździe rolniczym w Moskwie w grudniu r. z. pewna grupa właścicieli ziemskich ze stanowiska swoich najbliższych interesów osobistych uchwaliła niezwłoczne zabiegi o zniżkę taryf zbożowych ku zachodnim krańcom państwa, w stosunku $^{1}/_{100}$ kop. od puda i wiorsty. Na zjeździe tym nie było nikogo, ktoby ocenił tę sprawę z punktu szerokich, ogólnych warunków ekonomicznych, nikogo, ktoby położył nacisk na niebezpieczeństwo tych wymagań, na ich ciasnotę egoistyczną. Garstka więc interesowanych w obronie własnych chwilowych potrzeb stworzyła zamach na interesy mi-

lionów ludności i pchnęła swój wniosek drogami wielkiej protekcyi ku wyższym sferom rządowym. I gdy już pewna była zwycięztwa, zdarzył się doniosły i niezwykły wypadek: sfery wyższe nietylko odrzuciły stanowczo, ale potępiły te zabiegi. Są to fakty tak ważne dla wielomilionowej ludności, że musimy szczegółowo rozpatrzyć pobudki jednej i drugiej strony na podścielisku ogólnych zjawisk i potrzeb ekonomicznych.

Ks. Szczerbatow, prezes Towarzystwa rolniczego w Moskwie, który tak gorąco popierał wniosek powyższy, przyszedł do przekonania, że wobec warunków dzisiejszych rolnictwu nie można przynieść żadnej ulgi, ani za pomocą różnych udoskonaleń technicznych, ani organizacyi szkół fachowych itd. Jedyny środek skuteczny — to ulepszenie warunków zbytu produktów rolnych. Te właśnie warunki na całym świecie są dziś nadzwyczaj nienormalne i bardzo niepomyślne dla rolnictwa w obrębie państwa rosyjskiego. Wynikło to z przyczyn ogólnych, z których najważniejszą jest udoskonalenie machineryi przewozowej. Olbrzymi rozwój transportu parowego na wodzie i lądzie wywołał nadzwyczajną zniżkę frachtów morskich i taryf kolejowych, przytem ziarno z obrębu Rosyi spotyka na rynkach zachodnich groźne dla siebie współzawodnictwo — wielkie masy zboża, dowożonego wyłącznie drogami morskiemi. Na tej podstawie pewna grupa ziemian, a raczej ich przewodników, upatruje w obecnych taryfach zbożowych czynnik rujnujący. Skala opłat przewozowych jest niewłaściwą w stosunku do cen zboża w miejscach zbytu i—wysokości taryf morskich, szczególnie przy porównaniu z kosztami dostawy z południa na północ okólną drogą morską a lądową.

Skargi i protesty owej grupy rolników wynikły skutkiem nizkich cen zboża, których owe taryfy — zdaniem ich — nie uwzględniają. Żądanie zniżki taryf w stosunku $^1/_{100}$ kopiejki od puda i wiorsty oparto na tej podstawie, że już ową skalę stosowano doraźnie na niektórych kolejach podczas nieurodzaju w r. 1891. Nie odbiła się ona podobno ujemnie na dywidendzie przedsiębiorstw komunikacyjnych. Następnie r. 1894, gdy rolników wezwano na naradę w sprawie zniżenia taryf, minister wyraził gotowość wprowadzenia normy $^1/_{100}$ od puda i wiorsty, jeżeli interesowani potrafią udowodnić, że to przyniesie istotną korzyść rolnictwu. Zresztą projektodawcy nie żądali ścisłego zastosowania tej skali, lecz przyjęcia jej za punkt wyjścia reformy. Przewidywali oni potrzebę odbiegania od tej normy, szczególnie tam, gdzie porty i granice zachodnie od miejsca produkcyi są odległe o 200—300 wiorst, gdyż miejscowości te, „dzięki położeniu geograficznemu, posiadają wyjątkowo pomyślne warunki wywozu.“ Uznano, że kwestya taryf racyonalnie będzie rozstrzygnięta tylko w razie wysunięcia na pierwszy plan ogólno-państwowego znaczenia komunikacyi. Z tego punktu należy przyjść do wniosku, że kapitał użyty na budowę dróg powinien poprzestawać na procentach możliwie najniższych. Nadto, trzeba wziąć pod uwagę, że pierwotnie budowę kolei żelaznych prowadzono w większości bardzo kosztownie, że niewłaściwe rozłożenie sieci kolejowej na znacznych obszarach wynikło z celów strategicznych i ogólno-państwowych, nie mających bezpośredniej łączności z potrzebami rolnictwa. Dlatego też część wydatków z rubryki kosztów eksploatacyi kolei należy zaliczyć na rachunek środków ogólno-państwowych.

Interesowani (co do zniżki taryfowej) kładą nacisk na to, że od powodzenia rolnictwa zależy pomyślność ogólnego stanu finansów państwa; to powodzenie pierwszego ściśle jest związane z ułatwieniem przewozowem. Tymczasem koleje żelazne nigdzie do tego stopnia co w Rosyi, nie stały się organizacyą monopolową. Nie mają one, jak np. w Ameryce, współzawodniczących linij równoległych. Ten monopol wzrósł szczególnie w ostatnich czasach i obarczył także rolnictwo.

Na takim obrazie stosunków obecnych ks. Szczerbatow, przedstawiciel pewnej grupy ziemian, naszkicował projekt zmian taryfowych; zażądał niesłychanej zniżki: do $^1/_{100}$ kop. od puda i wiorsty na zboże, 6 kop. od wagonu i wiorsty dla przewozu bydła. Rachunek ten ma jedną zaletę: odznacza się prostotą. Gdyby atoli przyjęto go bez żadnej krytyki, zniknęłoby wszelkie znaczenie odległości; nietylko gubernie środkowe, ale i Ural przybliżyłyby się znacznie ku granicom zachodnim, zboże z miejscowości tanio wytwarzających zalałoby całkowicie rynki stron innych, zupełnie zgnębiłoby je ekonomicznie, słowem — dotknęłoby straszną klęską ludność wielomilionową. Zresztą i skarb państwa poniósłby pośrednio olbrzymie straty. To też w przewidywaniu tak groźnych następstw postanowiono sprawę wszechstronnie rozpatrzyć i powołano do pracy osobny komitet taryfowy, który jednomyślnie wystąpił przeciwko wnioskom i żądaniom ks. Szczerbatowa. Przebieg całej tej sprawy z najdokładniejszem umotywowaniem mamy właśnie pod ręką („Dziennik komitetu taryfowego“ — specyalne wydawnictwo ministeryum skarbu). Z rozpraw tych widzimy, że są one owocem rzetelnej pracy, wszechstronnie oświetlającej całą kwestyę.

Przedewszystkiem stronę finansową dróg, a pośrednio i skarbu, wyjaśniają ciekawe cyfry, zebrane przez p. Zahorskiego, naczelnika oddziału zbożowego przy departamencie spraw kolejowych. Otóż widzimy, że r. 1894 wywieziono ogółem 405,622,000 pudów i według taryf istniejących otrzymano z tego źródła 51,043,878 rs., przy opłacie przeciętnej $12_{,584}$ kop. od puda. Gdyby tę sumę transportu wziąć w stosunku $^1/_{100}$ kop. od puda i wiorsty, to cały dochód wyniósłby zaledwie 24,886,127 rs., tj. przeciętnie po 6 kop. (z ułamkiem) od puda. Ogólna zatem strata kolei żelaznych na wywozie uczyniłaby poważną sumę: 26,157,752 rs. W komunikacyi wewnętrznej (r. 1894) przewieziono 280,064,000 pudów i otrzymano za to 26,525,982 rs. (opł. przec. 9 kop. z ułamkiem od puda). Przy zastosowaniu zaś taryfy $^1/_{100}$ kop. otrzymanoby zaledwie rs. 12,296.490 (4 kop. z ułam. od puda), czyli strata w komunikacyi wewnętrznej uczyniłaby 14,229,422 rs. Ogółem tedy wywóz zagraniczny i przewóz wewnętrzny przy zastosowaniu tej nizkiej taryfy dałby o 40,387,243 rs. mniej, niż przy obecnej skali.

Taka olbrzymia strata szczególnie byłaby dotkliwą dla tych kolei, na których przeważają ładunki zbożowe. Chcąc wyrównać tę szczerbę, należałoby podnieść opłatę od innych przedmiotów, albo też oczekiwać nadzwyczajnego wzrostu przewozu zboża, któryby pokrył cały niedobór. Zobaczmy, czy to opodatkowanie przewozu innych produktów jest możliwe. Transporty zbożowe w przeciętnem obliczeniu za okres dziesięcioletni 1884—1893 (406 milionów pudów i 198 miliardów pudo-wiorst) stanowią w ogólnej masie (reszta transportów 1,809 mil. pud. i 717 miliardów pudo-wiorst) — 27,6%. Inne produkty, jak sól, nafta, odpadki i przetwory naftowe, węgiel kamienny, drzewo, materyały leśne, budulec, dały za dziesięciolecie 299,2 miliardów pudo-wiorst, czyli 33%. Towarów tych nie można tedy obłożyć większym podatkiem taryfowym, a więc należałoby obciążyć inne, śród których jest sporo związanych z rolnictwem, jak: bydło, mięso, szerść, słonina, konopie, len, sery, masło, owoce itd. Całą tę grupę towarów należałoby przewozić za opłatą w stosunku $^1/_{75}$ kop. od puda i wiorsty, co jest rzeczą niemożliwą. Również nie mają żadnej podstawy nadzieje co do wzrostu przewozu w takich rozmiarach,ażeby mogły pokryć 40-milionowy niedobór roczny. Trzeba byłoby całkowicie przekształcić i wzmocnić zdolność przewozową, co pochłonęłoby miliony i pomimo to nie byłoby żadnej rękojmi, czy ten ruch wzrośnie w pożądanym zakresie. Całą więc tę stratę musiałyby przyjąć na siebie koleje prywatne i skarb państwa.

Grupa rolników, żądających zniżki taryfowej, twierdzi, iż ziemianie nie mają nawet 5% czystego zysku, gdy koleje żelazne cieszą się wielkimi dochodami, którymi się powinni podzielić z tą masą pracowników na roli. Otóż komitet taryfowy stara się cyframi udowodnić mylność powyższego mniemania. Kapitał włożony w sieć kolejową (27,814 wiorst) do d. 13 stycznia 1893 r. wynosi 3,270,000,000 rs. Dochód czysty r. 1892 przyniósł 108 mil. rs., czyli zaledwie 3,3% od kapitału. Fakty świadczą, że koleje nie osiągnęły dotąd procentu gwarantowanego przez rząd właścicielom akcyj i obligacyj, więc skarb państwa musi co roku dopłacać 50 milionów rs., tj. prawie taką sumę, jaką ogół rolników płaci na rzecz długu hypotecznego*).

Myśl zrównoważenia dochodów gospodarki kolejowej i rolnej coraz częściej jest wypowiadana i popierana tym faktem, że w ostatnich czasach wywóz zbożowy wzrósł do niebywałych granic: r. 1893/94 do 611 milionów pudów, r. 1894/95 do 628 mil., przyczem wartość tego produktu wywiezionego, według ceny portowej, wynosiła 338 i 362 mil. rs. Ponieważ w latach poprzednich przy mniejszym wywozie szacunek tego produktu był wyższy, więc powstało przekonanie, że koleje powinny część swego dochodu z tego źródła oddać rolnikom. Dokładniejsze atoli rozejrzenie się w warunkach wywozu za ostatnie dziesięciolecie wykazuje, że koleje nietylko nie zwiększyły, ale nawet poniekąd zmniejszyły rozmiary transportów. Długość sieci kolejowych w ciągu lat pięciu wzrosła o 12,4%, liczba zaś pudo-wiorst z towarem zbożowym — tylko o 5,1%. Przytem do pokaźnej sumy wywozu wliczono transporty wodne i kołowe; po odtrąceniu tej kategoryi, na koleje (w r. 1893/94 i 1894/95) wypada tylko 63% wywozu ogólnego.

Sami interesowani, dopominający się taryf w stosunku $^1/_{100}$ kop., zastrzegają, że koleje nie mogą przewozić zboża ze stratą własną, o czem kilkakrotnie napomykał ks. Szczerbatow. Otóż komitet taryfowy i tę stronę szczegółowo wyjaśnia: Weźmy 27,6% wywozu zbożowego (w stosunku do transportów ogólnych) z okresu 1884 — 1893. Wydatki eksploatacyjne w tym samym czasie wynosiły 164 miliony rs. Po wyłączeniu wydatków na ruch osobowy i postawieniu ich nawet w rubryce dochodów maksymalnych (50 mil. rs.), otrzymamy na przewóz towarów 114 mil. rs. Rozdzieliwszy tę sumę przez przeciętną cyfrę pudo-wiorst (717 miliardów), przekonamy się, że wydatki eksploatacyjne na jedną pudo-wiorstę wynoszą $^1/_{82}$. Tym sposobem wydatki eksploatacyjne na pud towaru przewiezionego dają prawie dwa razy większą cyfrę, niż projektowana opłata taryfowa w stosunku $^1/_{100}$ kop. Po dodaniu do rozchodów eksploatacyjnych części opłat obowiązkowych, otrzymamy sumę *wydatków* trzy razy większą od tej, jaką przyniosłaby w rubryce *dochodu* taryfa projektowana. (D. n.).

*) Z ogólnej masy 92,696,000 dziesięcin ziemi w posiadaniu prywatnem, zastawiono 37,252,000: suma długu 13 stycznia 1894 r. wynosiła 982,643,000 rubli.

W DALI.

Piotrków. *Tydzień* pisze, że po wsiach, a zwłaszcza dworach wiejskich, snują się w obecnej porze całe gromady agentów różnych towarzystw zagranicznych, zachęcając ziemian do ubezpieczania się od gradobicia. Pismo powyższe zwraca uwagę na niebezpieczeństwo ubezpieczania się w instytucyach zagranicznych, które niewiele dbają o zadowolenie ubezpieczonego, ani o wynagrodzenie mu strat na wypadek gradobicia, ale tylko o ściągnięcie od niego premii. Oddawna w sferach ziemiańskich słyszeć się dają żale na to, że towarzystwa zagraniczne obliczają bardzo nizko straty, przez grad zrządzone, albo, co gorsza, trudno wydobyć od nich nawet przyznaną już sumę. Zwlekanie z wypłatą tej sumy jest wypadkiem zwykłym i niejeden pokrzywdzony zrzeka się upominania o należność w drodze sądowej jedynie dlatego, że proces w tym razie wytaczać należy przed sądami zagranicznymi, ponieważ Towarzystwa owe nie mają prawa działania w naszym kraju.

Łódź. Łódzka kasa pożyczkowa przemysłowców święciła w tych dniach piętnastolecie swej działalności na polu finansowem. Założona w r. 1881 z inicyatywy p. Rob. Wergana, postawiła sobie za cel dostarczanie możliwie taniego, na zasadach solidarności opartego kredytu swym członkom ze sfery produkcyi drobnej, dla której drogi kredyt bankierski nie był dostępny. Nie zawsze tej zasadzie była kasa wierną. Pomijano potrzeby drobnego przemysłu i handlu na korzyść większych firm przemysłowych. Pomimo to bardzo żywotną była działalność instytucyi. W ciągu lat piętnastu wzrosła tak dalece, że dziś obraca milionami. W r. 1883 liczyła 210 członków z wkładami 63,063 rs. 74 k., zdyskontowała wtedy weksli za 105,000 rs. i dała 2,335 rs. 54 k. dochodu na dywidendę. W r. 1895 cyfry te wynosiły: liczba członków 632, suma wkładów 865,000 rs., dyskonto weksli 2,383,394 rs. 6 kop., czysty dochód 149,990 rs. 19 kop. Prócz tego kasa wybudowała własny piękny gmach, utworzyła kasę zapomogową dla urzędników, wogóle zaś udziela taniego kredytu. Prezesem jest p. Józef Beyer, wiceprezesem p. F. Wutke, prócz tego sprawami kasy zarządza komitet nadzorczy, złożony z 13 członków i komitet reprezentantów, liczący kilkudziesięciu członków.

Lublin. W Królestwie Polskiem przybyła jeszcze jedna linia kolejowa nieobjęta projektem budżetowym kolei drugorzędnych i podjazdowych na rok 1896-ty. Jest to szybko budowana linia Lubelsko-Janowska w gubernii Lubelskiej. Zaczyna się ona w Lublinie, idzie w kierunku na osadę Bychawę przez Strużę i przebiegłszy ogółem 62 wiorsty zakończy się w mieście powiatowem Janowie lubelskim. Prowadzona jest na koszt rządu w taki sposób, w jaki zbudowano pierwsze 100 wiorst kolei Poleskich od Żabinki do Pińska i kolej podjazdową ze stacyi Kiwerce kolei Południowo-Zachodniej do miasta Łucka w gubernii Wołyńskiej. Nowa linia Lubelsko-Janowska zapewne stanie się dostępną dla użytku publicznego z chwilą zapowiedzianego przejścia do skarbu kolei Nadwiślańskiej, co nastąpić już ma podobno za kilkanaście miesięcy. Owa linia, będąca faktycznie ostatnim dystansem pogranicznym linii magistralnej Ostrołęka—Janów lubelski, przecinającej wzdłuż Królestwo Polskie, która od r. 1887-go utworzyła się z budowanych oddzielnie lub istniejących już dystansów: Siedlce—Łuków, Siedlce—Małkinia, Małkinia—Ostrołęka, Łuków—Lublin, i obecnie Lublin—Janów, ma wielkie znaczenie dla południowej części gubernii Lubelskiej o ziemiach bogatych, a pozbawionych dogodnej komunikacyi. Sam Lublin, stacya pośrednia kolei Nadwiślańskiej, o znaczeniu czysto miejscowem, stał się odrazu stacyą węzłową, zkąd rozchodzą się linie do Kowla, Warszawy, Łukowa i Janowa. Z połączeniem administracyi pod zarządem skarbu kolei Terespolskiej z odnogami Nadwiślańską, pociągi osobowe będą przebiegały całkowitą linię wzmiankowaną od Ostrołęki do Janowa lubelskiego na przestrzeni około wiorst 300.

Busk. Korespondent *Kuryera Warsz.* wytyka następujące wady w gospodarce zakładu leczniczego: Wanien z kaflami emaliowanemi w chwili otwarcia sezonu nie było, a obecnie działa jedna i to tylko w oddziale kobiecym. Wanien takich ma być w przyszłości osiem, ale kiedy, niewiadomo. Nowo urządzenia kopiclowe narażają kuracyuszów na zbyt długie oczekiwanie, prócz tego można być łatwo w wannie oparzonym parą, jak to stało się z pewnem dzieckiem. Pomimo opieki lekarza nad kuchnią hygieniczną w zakładzie, dają tam obiady niehygieniczne. Kto weźmie abonament, a przypadkiem zachoruje, traci obiad, gdyż restaurator odpowiada, że „robi łaskę, jeżeli wydaje jedzenie po za obręb restauracyi.“ W czasie deszczu trudno dostać się do łazienek, skutkiem błota po kostki, mimo to, że w okolicy Buska o kamienie nie trudno, więc ułożenie chodników nie byłoby kosztowne.

Białystok. Niespełna dwa lata istniejący w Białymstoku komitet handlu i rękodzieł, w ostatnich czasach zwłaszcza rozwinął nader energiczną działalność i przesłał, bądź wprost do departamentu handlu i przemysłu, bądź też na zjazd niższonowogrodzki, kilka dla tutejszego handlu i przemysłu bardzo ważnych i żywotnych kwestyj. Między innemi w departamencie oczekuje ostatecznego rozwiązania, przez tutejszy właśnie komitet podjęta, kwestya tak zwanych komisyonerów. Indywiduów noszących miano komisyonerów naliczono tu około 80. Z nich pewna mała część tylko działa sumiennie i z obustronną, kupującego i sprzedającego, korzyścią; większość zaś są to ludzie z nader zagadkową przeszłością, bez żadnych kwalifikacyj, tylko w wyzysku cudzej pracy szukający i, według *Gaz. Pols.*, znajdujący łatwy i dobry zarobek. Otóż białostocki komitet handlu i przemysłu, nie opracowując na razie szczegółowego projektu zwrócił się tymczasem tylko do departamentu z propozycyą nadania komitetowi prawa i możności obmyślenia jakichś przepisów ograniczających szkodliwą działalność komisyonerów, prawa kontrolowania ich kroków, nadawania tej godności i pozbawiania jej tym, którzy nadużywają zaufania, ograniczenia nadmiernej ich liczby, prowadzenia spisu komisyonerów itd. Z referatów, posłanych do Niższego N. zasługują na uwagę: 1) o potrzebie, w interesie miejscowego przemysłu wełnianego, zniżenia taryfy przewozowej na wełnę niemytą, stawki bowiem przewozowe, szczególnym zbiegiem okoliczności, są równe dla wełny mytej i niemytej; i 2) o konieczności założenia w Białymstoku, jako ognisku przemysłu tkackiego całej połaci kraju zachodniego, szkoły majstrów tkackich, których zastęp obecnie w większości składa się z cudzoziemców.

Petersburg. Opracowano sprawę uwalniania żołnierzy do robót polnych. Powstaje specyalne biuro najmu. — Projektowane przez ministeryum skarbu nowe przepisy o otwieraniu i prowadzeniu zakładów przemysłowych, jak donosi *Now. wr.*, postanowiono wprowadzić do gubernij zarządzanych na zasadach ogólnych, tudzież do Królestwa Polskiego i obwodu dońskiego. W pozostałych guberniach wprowadzane one będą stopniowo, po porozumieniu się ministra skarbu z ministrem spraw wewnętrznych. W guberniach i obwodach, do których nowe przepisy nie będą się rozciągały, pozwolenia na prowadzenie zakładów i fabryk udzielać będą naczelnicy i gubernatorowie, w miastach zaś, posiadających zarządy miejskie, właściwa władza, ale tylko w tych wypadkach, gdy projektowane zakłady i fabryki należą do kategoryi mogących istnieć bezpiecznie śród miejscowości zaludnionych. Jednocześnie z wprowadzeniem do Królestwa, obwodu dońskiego i gubernij rządzących się zasadami ogólnemi nowych przepisów, zniesione będą po miastach urzędy do spraw fabrycznych, tudzież wprowadzone zasadnicze zmiany do ustawy rzemieślniczej. Zakładający warsztaty rzemieślnicze mogą nie należeć do cechu, a jedynie obowiązani są wykupić odpowiedni patent przemysłowy, z wyjątkiem Żydów, którzy mogą prowadzić przedsiębiorstwa warsztatowe bez należenia do cechu tylko w guberniach nadbałtyckich i m. Narwie gub. Petersburskiej.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Zwrócono uwagę na potrzebę wzbronienia drogą prawodawczą sprzedaży inwentarza włościańskiego za zaległości gminne.

— Komitet budowy pomnika Adama Mickiewicza ogłosił, iż na miejsce Eustachego ks. Sanguszki, który, objąwszy stanowisko namiestnika Galicyi, zrzekł się przewodnictwa, uproszono na przewodniczącego Stanisława hr. Badeniego, marszałka krajowego, który godność tę przyjął. W pierwszych dniach lipca odbędzie się posiedzenie członków komitetu budowy.

— *Petersb. Wied.* donoszą, iż minister skarbu, na przedstawienie zarządzającego Bankiem szlacheckim, polecił zwolnić od przymusowej sprzedaży wszystkie te majątki, które wniosą choć część jakąś zaległych rat.

Szkoły. W Odesie wydział lekarski otwarty będzie w połowie sierpnia

— Macierz szkolna dla księztwa Cieszyńskiego ogłosiła konkurs na posadę nauczyciela filologii klasycznej przy gimnazyum w Cieszynie. Płaca 1,350 zlr z „kwinkweniami.“ Zgłoszenia zaraz.

Zdrowie publiczne. *Berliner Correspondenz* donosi, że wobec wygaśnięcia cholery w Prusiech i Rosyi, postanowiono znieść ograniczenia, dotyczące przywozu bagażów i wszelkich ruchomości podróżnych, przybywających z Rosyi.

— Zatwierdzono Towarzystwo kąpieli morskich w Odesie, założone przez lekarzy.

— Pp. Jarocińscy ofiarowali 3,000 rs. na budowę szpitala dla dzieci żydowskich w Łodzi.

Dobroczynność. Zmarła w d. 30 października 1894 r. w Warszawie właścicielka hotelu Krakowskiego, Julia Ekieltowa, oprócz zapisów na rzecz osób prywatnych, poczyniła znaczne legaty na cele dobroczynne. Między innemi następujące: Na rzecz kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowem, im. dr. Józefa Mianowskiego, rs. 60,000, do użycia na potrzeby bieżące, z obciążeniem atoli tej sumy dożywociem na rzecz ojczyma testatorki. Dla Domu schronienia paralityków i kalek nieuleczalnych w Warszawie rs. 30,000. Dla takiegoż Domu schronienia kalek nieuleczalnych, istniejącego za rogatkami wolskiemi a utrzymywanego przez kolegium kościelne ewangelickie, rs. 20,000. Dla Towarzystwa św. Wincentego a Paulo rs. 20,000. Dla zakładu istniejącego w Warszawie pod nazwą „Rodzina Maryi“ rs. 3,000. Dla Przytuliska rs. 3,000. Na założenie dwóch kas pożyczkowych rzemieślniczych w Warszawie rs. 10,000. Dla Domu schronienia podupadłych nauczycielek w Warszawie rs. 3,000. Wreszcie na wypadek, gdyby fundusze spadkowe wystarczyły z nadwyżką na całkowite pokrycie zarówno powyższych zapisów publicznych, jako też legatów prywatnych, to pozostała reszta, do wysokości rs. 45,000, miała być nadto, wedle orzeczenia testamentu, użyta na założenie dziewięciu nowych kas rzemieślniczych w Warszawie. Wszystkie wspomniane zapisy, na skutek wniosku hypotecznego, zeznanego przez wykonawców testamentu, zabezpieczono na hypotece dwóch nieruchomości spadkowych, jakiemi są posesya nr. 601B w Warszawie, przy ulicy Bielańskiej pod nr. 7 położona i mieszcząca hotel Krakowski, tudzież willa Wolmontowice, położona pod Otwockiem, nad brzegiem rzeki Świdra, tuż przy przystanku kolei Nadwiślańskiej tejże nazwy. Obie pomienione nieruchomości są teraz właśnie wystawione, w drodze działów, na licytacyę publiczną. Od pomyślnego wyniku tej licytacyi zależy w znacznej mierze zrealizowanie zapisów. Termin licytacyi zarówno hotelu Krakowskiego, jako też Wolmontowic wyznaczono na d. 7 lipca w wydziale III-im cywilnym tutejszego sądu okręgowego

Wystawy i zjazdy. W Norymberdze otwarto wystawę przemysłową.

— Zjazd przemysłowy w Niższym Nowogrodzie odroczono do 16 sierpnia.

— Międzynarodowy kongres inżenierów i techników wiertniczych odbędzie się w Budapeszcie d. 7, 8 i 9 września. W d. 25 i 26 t. m. tamże kongres górników i geologów.

Koleje i komunikacye. Weszły w życie t. zw. pociągi kąpielowe pośpieszne do galicyjskich zakładów leczniczych i zdrojowisk i będą kursować do 15

września. Z Krakowa pociąg do Rabki oraz Chabówki (Zakopane) odchodzić będzie o godzinie 8-ej zrana.

Sądy. W grudniu 1893 r. ślusarz na kolei Terespolskiej, Andrzej Drozdowski, wszedłszy do nieoświetlonej należycie remizy w celu rozpoczęcia zwykłej roboty, wpadł do nieprzykrytego rowu i złamał prawą rękę, przez co stał się niezdolnym do dalszej pracy fizycznej. Ponieważ, według mniemania poszkodowanego, kalectwo to powstało przy spełnianiu obowiązków służbowych i z winy kolei, przeto obrońca jego, adw. Fridman, wniósł do sądu powództwo o 12,000 rs. odszkodowania z 6% od dnia 19 października 1894 r. Dnia 24 czerwca w III wydziale cywilnym sąd rozpatrywał powyższe powództwo. Obrońca interesów zarządu kolei Terespolskiej adw. przys. Szczepański prosił sąd o oddalenie powództwa Drozdowskiego, przyczem twierdził, że kolej nie odpowiada za uszkodzenia zdrowia, jeżeli dowiedzie, że wypadek nieszczęśliwy powstał nie z winy zarządu. Zbadani świadkowie zeznali, że Drozdowski przyszedł do roboty o wpół do 7-ej, na pół godziny wcześniej, i nie miał prawa wejść do nieoświetlonej remizy; zresztą dzwonek daje znać robotnikom, kiedy mają zaczynać robotę, przed sygnałem zaś nikt nie ma prawa wchodzić do warsztatów. Lekarze biegli orzekli, że w ogólnym stanie zdrowia Drozdowskiego zmiany ważne nie zaszły, że jednak jest pozbawiony możności pracowania prawą ręką. Z załączonej do sprawy piśmiennej prośby Drozdowskiego na imię zarządu kolei, napisanej w 3 miesiące po wypadku, widać, że poszkodowany ma bardzo ładny charakter pisma, co pozwala mu zarabiać na utrzymanie przepisywaniem. Sąd wydał wyrok, na mocy którego zarząd kolei Terespolskiej na korzyść Drozdowskiego powinien wnieść rs. 1,500 jednorazowego kapitału z 6% od 19 października 1894 r.

Wypadki. Skutkiem powodzi w Japonii zginęło 27,000 ludzi.

Nakładem naszym wyszła

Historya filozofii nowożytnej

prof. R. Falkenberga,

w przekładzie W. M. Kozłowskiego.

Dzieło to, obejmujące 667 stronic druku, kosztuje tylko: w Warszawie rs. 2 kop. 40, a z przesyłką pocztową rs. 2 k. 75.

OGŁOSZENIA.

Bezpłatny dodatek „Prawdy"

Zasady Fizyologii

Huxleya—Rosenthala,

wyszedł w osobnej książce i jest do nabycia za cenę rs. 2, z przesyłką pocztową rs. 2 kop. 15.

WYDAWNICTWA „PRAWDY."

J. Brandes. **Główne prądy literatury XIX w.**, tomów cztery, tł. K. Lewald — rs. 6.

Ekonomia polityczna według najznakomitszych badaczów niemieckich ułożona — rs. 3.

L. Liard. **Logika**, tłom. K. Lewald — rs. 1.

A. Espinas. **Społeczeństwa zwierzęce** wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socyologii — rs. 3.

Uwaga. Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą **za połowę ceny**.

L. H. Morgan. **Społeczeństwo pierwotne**, czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi, przekład A. Bąkowskiej — rs. 3.

E. Tylor. **Zmyślność i moralność roślin** (w oprawie) — rs. 1.50.

J. Barni i A. Krzyżanowski. **Męczennicy myśli** (w oprawie) — rs. 1.

Dr. Azam. **Charakter w zdrowiu i w chorobie** — kop. 40.

N. Hirszband. **Byron** w urywkach, kop. 50.

Dr. F. Rajkowski. **Poradnik lekarski** wraz z apteką domową (w oprawie) — rs. 1.

K. Lewald. **Historya XIX w.**, od r. 1800—1888 — rs. 3. k. 30.

E. H. Tylor. **Antropologia** z ilustracyami, przekł. A. Bąkowskiej — rs. 2.

M. Mignet. **Historya Rewolucyi francuskiej**, tomów dwa—rs. 2.

Na koszta przesyłki do każdego rubla należy dołączyć kop. 15.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 21 Іюня 1896 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.